

WISZA

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

H. WORCELL — Na rampie. H. WANDOWSKI — Powieść o wsi łotewskiej.
E. MARZEC — Dużo chęci, a znajomość skąpa.
A. BARTOSZEWICZ — Dyskutyjny „Syna rybaka”. WŁ. GRAB — Terenem — Śląsk.
A. WALICKI — Trudna i piękna droga twórcza. M. BOK — Walka nie kończy się zwycięstwem.
K. DEBNICKI — Potrzebują morderców. J. KRYCHA — „For Americans Only”.
S. SKULSKI — Wróg maci. G. TIMOFIEJEW — Obrady w sprawie przekładów.
J. BACULEWSKI — Henryk Sienkiewicz. H. ZAWORSKA — Historyczna powieść o wsi.

Rok VIII

Warszawa, dn. 23. XII. 1951 r.

Nr 51 (333)

MÓWIĄ CHŁOPI ODZNACZENI



Władysław Romanak z Gromady Szarkowa, gmina Chodów, powiat Miechów.

Powiekszać aktywość gromady!

Za gratulacje serdecznie dziękuję a o pracy mej, za którą otrzymałem Krzyż Zasługi, słów kilka wam powiem, bo to, co w niej dobrego, łatwo da się szeroko upowszechnić.

Od 9-go roku życia zarabiałem na własne utrzymanie różnymi pracami, a zawsze starałem się czegoś nauczyć i tak udało mi się zahaczyć o szkołę rolniczą, wprawdzie najniższego stopnia, ale potem, kiedy w okresie wojny znalazłem się po stronie radzieckiej i przebyłem w Związku Radzieckim kilka lat, bardzo pogłębiłem wiedzę rolniczą, skoro tam wiele otrzymałem nagród i pochwał. Drugą umiejętnością dał mi kurs maszynisty. Tak to hojnie wyposażony wróciłem do kraju po wojnie. Tu, na Ziemiach Odzyskanych rozumiałem, że to nie ja mogę wiele żądać pomocy od aktywności miejscowego, ale on ode mnie. Miałem wszak duże wyrobienie społeczne, żyłem lat kilka w kraju socjalizmu, wyniosłem nie małe zdobycze oraz nauki zawodowe. Postanowiłem to wszystko oddać chłopom w gromadzie i okolicy, nie nie zatrzymując dla siebie. Toteż żadnej sprawy urzędowej i społecznej nie zataczałem w sobie ale na wspólnych zebraniach gromadzkich przez co i ja utrwaliałem stałą łączność ze wszystkimi i gromady sąsiednie nauczyły się żyć zespołowo.

Od 1947 r. jestem członkiem GRN. Zawsze też zwracałem uwagę członkom Rady i Prezydium, że aby od ludzi wymagać, trzeba najpierw od siebie zacząć, a od siebie żądam: karności, odpowiedzialności i ofiarności w pracy dla terenu i państwa naszego. W Radzie Gminnej z naszej wsi zasiada aż trzech chłopów, w Powiatowej dwóch (ob. Morawski i ja) — w Komisji Zdrowia i Opieki Społecznej. W Dużej jest przewodniczącym Komisji, w powiatowej sekretarzem tej Komisji. Wyniki pracy przenosimy na gromady osobiście, a stąd potrzeby i projekty gromad na komisje. Ponieważ z kursu maszynisty i dalszej praktyki mam pewne wyrobienie techniczne więc też drzwi u mnie są dla potrzebujących otwarte przez całą dobę.

Nie myśl Szanowna Redakcjo, że zasklepiłem się tylko w praktyce niepatentowanego lekarza. Skoro postanowiłem przelać na teren wszystko, co umiem i rozumiem, ważniejsze społecznie były inne sprawy.

Założyłem 2 Koła ZMP, 2 świetlice, przedszkole, sklep spółdzielczy. To był mój bezpośredni wkład w życie okolicy. Stawiałem sobie główne zadanie w czym innym: pomnożyć aktywność, udzielić pomocy w sile kadrowej, które pomagają założyć wiele nowych instytucji i poprawiać życie społeczne. W tym zakresie taki bym przedstawiał, skromny jeszcze rachunek moich uczniów: 2-ch z nich jest oficerami, 2-ch podoficerami, 2-ch członkami zarządu GS, jeden zastępcą przewodniczącego GRN, kilku pracownikami PRN oraz w PGR.

Moją największą troską jest to, aby wraz z wyrastaniem aktywność nie powtarzało się tylko jedno — odziedziczone, do powiatu. Dzielnych i wyrobionych ludzi potrzeba nam również na gromadach.

Jeśli w czym chciałbym podkreślić własny przykład, to właśnie w tym, że sięgam i do gminy i do powiatu, ale równocześnie tkwię na gromadzie i z nią współpracuję, gromadzkiej rady nam dziś już potrzeba, pracującej wytrwale na codzień.

Kiedy tak bywa to wówczas, jak na naszej gromadzie w tym roku do 24.IX. skup zboża osiągnął 110 proc., ziemniaki 150 proc., kontraktacja 148 proc., podatki 103 proc.

Kazimierz Paluch
Radomierowice pow. Opole

Dumny jestem z odznaczenia

Kiedy otrzymałem list od redakcji ucieszyłem się, że o mnie wiadzą dzisiaj w całej Polsce, bo przed wojną nikt nie interesowałby się takim chłopem jak ja. Mam lat 38, pochodzę z powiatu niżańskiego w woj. rzeszowskim. Jako dziecko chodziłem tylko do 3 kl. szkoły. Po rodzicach wzięłem 1 ha ziemi, a 2 ha dzierżawiłem od sąsiada. Życie było ciężkie, zwłaszcza za sanacji, gdy brak było pracy, a wieś przeludniona. Musiałem dorabiać, najczęściej przy plecieniu koszyków. W czasie okupacji zostałem wysiedlony a budynki zniszczone. Zamieszkałem w Kamieniu, pracując dorywczo na roli. Byłem w partyzancie łącznikiem przewożącym prasę i rozkazy do gm. Jęzów.

Obecnie osiadłem na gospodarstwie, przydzielonym mi przez Państwo Ludowe i przy jego pomocy teraz idzie mi dobrze. W tym roku odstawiłem 12 bekoniów, odstawiłem do 70 l mleka dziennie (a w poprzednim roku nawet do 100 litrów dziennie). Nie jest mi łatwo prowadzić sołectwo i gospodarstwo, bo mam tylko troje małych dzieci od 3 do 11 lat. Za to mam żonę pracownicą i gospodarną, która prowadzi gospodarkę w domu, a ja w gromadzie.

Sołtysem jestem od 1949 roku. Gromada moja w tym roku wywalała się ze skupu zboża do dnia 1 grudnia 1951 r. 97%, przy planowej aktywności gromadzkiej docięgniemy w grudniu do 100%. Skup ziemniaków 102%, podatek gruntowy 93,4%, F.O.R. — 83,6%, kontraktacja trzody na rok 1952 dotychczas 42%, ale po uchwałach Rządu w sprawie kontraktacji, jak oświadczyli chłopcy na zebraniu 4 grudnia, sytuacja się zupełnie zmieniła i z naszej gromady ani jedna sztuka nie pójdzie niekontraktowana na rynek.

W naszej gromadzie są: 2 gospodarstwa do 3 ha, 38 gospodarstw od 3 do 10 ha i 7 gospodarstw od 10 do 20 ha, z tymi ostatnimi jest zawsze najwięcej pracy i mitręgi. Jest w naszej gromadzie kilkanaście rodzin, które ziemi nie posiadają i 28 rodzin robotników pracujących w przemyśle, posiadających działki o pow. do 1 ha. Ci bardziej uświadomieni pomagają nam w każdej akcji. Największą pomoc w mej pracy okazuje mi Podstawowa Organizacja Partyjna.



Zelia Jaworska ze wsi Bukajów, pow. Grójec.

Jest u nas również duże i dość żywotne koło ZSCH, którego prezesem byłem przez ostatnie sześć lat. Mam w tym kole piękną bibliotekę — 145 tomów, otrzymaną jako nagrodę za planowy skup zboża w zeszłym roku, w którym wywiązaliśmy się ze skupu najwcześniej i w 120%. Mało żywotne jest jeszcze u nas dotychczas koło ZMP i nie łatwo je pociągnąć do życia. To samo jest z Ligą Kobiet.

Moja praca polega na tym, że przed każdym zebraniem gromadzkim opracowuję sobie w porozumieniu z Podstawową Organizacją Partyjną cały plan działania, omawiam ten plan z aktywem gromadzkim ZSCH, a gdy zebranie jest porządnie przygotowane to i praca idzie sprawnie. Dużym utrudnieniem w naszej pracy jest zbyt duży obszar naszej gmi-



ny i powiatu. Dlatego też nie tak często jakby to było potrzebna zagłada do każdej gromady Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej. Powiat nasz jest duży i dlatego przedstawiciele Prezydium PRN nie zawsze mogą dojechać na każde zebranie sołtysów i aktywów gminnych. Zbyt duży obszar gmin (a my np. mamy w naszej gminie aż 18 gromad daleko oddalonych od siebie) jest również wielkim utrudnieniem przy handlu. Nasza gromada ma np. aż 12 km do siedziby Gminnej Spółdzielni. Gdyby można było zmniejszyć obszary gmin i powiatów i z czasem stworzyć w większych gromadach (lub w kilku mniejszych) gromadzkie rady, to ludzie bardzo byłoby z tego zadowolony i odblito by się to dobrze na życiu społecznym gromady, w którym mogłoby wtedy znacznie więcej wyrobić aktywiści.

Franciszek Sądej
wieś Lednoga g. Lubowo
pow. Gniezno

Rządy gromady

W pierwszych słowach mojego listu mam przekazać gorące podziękowanie ob. Strękowi Bronisławowi za złożone mu przez Redakcję „Wsi” gratulacje z okazji otrzymanego odznaczenia.

Jestem sąsiadem ob. Stręka. Był on sołtysem przez 11 lat do września 1939 r. Ale tu muszę zastrzec, żeby nikt nie miał wątpliwości. Stręk Bronisław był wówczas sołtysem gromady małej i średniorolnych a nie sołtysem sanacji. W naszym Piaskowie ma na piaskach 7 ha. Ze skory wytał przed wojną, aby podnieść naszą gospodarkę we wsi, aby wspomóc biedotę. Z tych czasów nigdy nie zapomnimy o tym, że to sołtys Stręk zachęcił i przekonał gromadę do kupna 2 ha z parcelacji Piaskowa — na co? Na rzecz ubogich starców we wsi.

Po wojnie od chwili obecnej zmieniło się już w naszej gromadzie pięć sołtysów. Obecnie sołtysem jest ob. Piechaczek Franciszek. Stary Stręk współpracował z każdym sołtysem dla dobra gromady. Wspomnę o tych jego zasługach z lat ostatnich. W 1949 r. zawiątał do naszej wsi wicestarosta (ob. Zieliński). Pogadał z sołtysem o bolączkach i potrzebach gromady. Tego wieczoru sołtys zaprosił Stręka na naradę, czy by Stręk nie podjął się akcji elektryfikowania wsi. Starosta podsunął tę myśl, umajoną wyjaśnieniami i radami, w których jednak brakło rzeczy najważniejszej — funduszy. Tej nocy już drugi raz piał koguty, a Stręk z sołtysem siedzieli jeszcze przy zapalonej lampce rysując na gazecie plan linii niskiego napięcia i mierząc jej ośmiokilometrową długość z długością płótna w kieszeniach wszystkich obywateli gromady. Co tu gadać, niebogata nasza wioska... zwie się wsiak Piaskowo. Ale w gospodarce się wysilamy. Stręk i w tym przodował i tego nas uczył.

Nazajutrz odbyło się gromadzkie zebranie. Powstał komitet elektryfikacyjny, do którego weszli Stręk, Smoczek Jan (ZSL) i Rajczak Franciszek (ZSL). Komitet nie był mało-wany. Czy wiecie z jakim wystąpił projektem? Jeśli Państwo Ludowe ma nam pomóc, musimy na to zasłużyć. Musimy zatem dokonać czegoś takiego, co również gospodarzom da państwu korzyści a wówczas będzie ono mogło z czego subwencjonować naszą elektryfikację.

Nie sztuka brać od państwa, trzeba na to zarobić. Różne wysuwano projekty. Najlepszy okazał się ob. Stręka. Gromada nasza wezwała wszystkie wsi w Polsce do długofalowego współzawodnictwa w przedterminowej spłacie podatku gruntowego i FOR-u. Był to rok 1949. Pomysł wzięty został z doświadczeń klasy robotniczej — współzawodnictwa. Dziś widać, że był on na polskiej wsi jaskółką tegorocznego skupu zboża i regulowania należności finansowych. W 1949 r. zapowiadany był Plan Sześcioletni, rozumieliśmy, że państwo musi mieć na inwestycje dla budowy wielkiego przemysłu. Ob. Stręk dobrze ten projekt wykomponował. Rzucałmy wezwanie na cały kraj i odnieśliśmy zwycięstwo we współzawodnictwie, my, nasza gromada Piaskowo. Oczywiście, za ten czyn Państwo zaraz przysłało nam z pomocą w elektryfikacji. Otrzymałmy premię w wysokości 1.800.000 zł (w starej walucie). Już w lutym 1950 r. w każdej chałupie chłopiejskiej zabłysły żarówki elektryczne. Miesiąc później powstało koło ZMP. A jesienią tego roku, pod przewodnictwem ob. Stręka zetepowujemy pobudowali świetlicę gromadzką. Ob. Stręk pomyślał również o tym, aby gromada zakupiła jako swoją, społeczną — maszynę do młócenia. To był zaczątek usprawnień w drugim zakresie. Zaraz po żniwach wsi mogła przystępować do omlotów. Toteż tegoroczny plan skupu zboża wypełniliśmy prawie w 100 procentach już bardzo dawno. Do 107 ton planu brakło nam 1,5 t, ale też nie było już więcej z czego wymłócić.

W naszej wsi jest koło ZSL i ZMP, ob. Stręk jest bezpartyjny. Ale współpracuje naszej gromady i naszego aktywem z KG PZPR, jak również z GRN-em układa się jak najlepiej.

Ostatnio spotkało naszą GRN i naszych robotników w Szamotulach wielkie nieszczęście. Wybuchł pożar. Biura GRN-u spłonęły, spłonęły mieszkania 24 rodzin robotniczych.

Otóż my, mieszkający gromady Piaskowo, występujemy z nowym projektem. Bo nasza gromada dokłada wysiłku do rozbudowy naszej wsi. Każdego roku tworzymy coś nowego. W r. 1950 zelektryfikowaliśmy wsi i zakupiliśmy wspólną budowę świetlicy, utworzyliśmy bibliotekę, obecnie sposobimy sklep spółdzielczy.

Dlatego też mieszkańcy gromady Piaskowo wołają i proszą, dajcie nam tylko materiału budowlanego, a pobudujemy w Piaskowie gmach dla Prezydium Gminnej Rady Narodowej. Pobudujemy wygodne mieszkania dla pracowników i pogorzelców. Terenu na ten cel mamy dosyć, nadającego się szczególnie pod budowę. Mamy przecież 28 ha ziemi (zwolnionej przez byłych właścicieli) na której mogłoby stanąć 40 domów robotniczych, otoczonych zielonym ogrodkiem i opasnionych żywopłotem z drzew morwowych, które nam w przyszłości posłużą do rozwoju hodowli jedwabników.

Dajcie nam tylko materiał budowlany a wszystko to pobudujemy czynem pokoju. Póki żyje nasz niezamordowany i dobrze zasłużony ob. Stręk Bronisław i ob. Smoczek Jan. Póki nam nie rozleci się po szerokim świecie nasza młodzież

ZMP, która wielki wkład pracy dała przy elektryfikacji i budowie świetlicy. Tacy junacy jak Stanisław Walliszewski, chętny do pracy a przy tym, silny jak traktor i wielu innych jemu podobnych, jak nasze drogie koleżanki z ZMP, które niezamordowanie pracowały a nawet prześcięły w pracy junaków...

Dajcie nam tylko materiału budowlanego a będziemy w Piaskowie dzwigali pokójowy gmach Polski Ludowej. W nowej robocie wyrosną nowe kadry, nowy aktyw, nowa gromada i wciąż bardziej nowa będzie nasza Piaskowo.

Jan Sadowski
Piaskowo
gm. Szamotuly
woj. poznańskie

Dzięki szkoleniu partyjnemu

Mój ojciec miał 1 ha ziemi, dostał pracę jako kolejarz na stacji Rejowiec. Rodzina nasza składała się z 6 osób, życie było bardzo ciężkie. Chleba z naszego gospodarstwa starczało zaledwie na kilka miesięcy. Przed wojną dorywczo dorabialiśmy przy żniwach i wykopkach grosze u hrabiego Smarczowskiego w Zdżanym pow. Krasnystaw.

W czasie okupacji hitlerowskiej pracowałem przy żniwach i sianokosach u kulaka Michała Lubasia, (16 ha), który za dniówkę płacił mi tylko 80 dk g maki żytniej.

Po wyzwoleniu otrzymałem 1,70 ha z reformy rolnej. W r. 1946 wstąpiłem do PPR. Dziś jestem sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej w naszej gromadzie i sołtysem od roku 1949 do chwili obecnej.

Jeśli chodzi o skup zboża na dzień 30 listopada br. to gromada nasza Majdan Surchowski wykonała go w 106%, podatek gruntowy w 80%, kontraktację trzody chlewnej na 1 kw. 1952 w 70%, skup ziemniaków w 96%. W naszej gromadzie jest tylko trzech bogatszych gospodarzy, którzy mają FOR ale i ci pod wpływem gromady zapłacili do 30 listopada 1951 r.

Te wyniki osiągnąłem dzięki codziennej pomocy i za wskazówkami Prezydium Gminnej Rady Narodowej i Komitetu Gminnego Partii. Z chwilą ogłoszenia całej akcji skupu członkowie partii wykonali swoje zobowiązania w 100%, aby dać przykład innym. Ale nie poprzestaliśmy na tym. Na zebraniach gromadzkich członkowie Partii zabierali głos, mówili o tym, dlaczego i jak oni sami wykonali swe zobowiązania i wzywali opieszłych do wykonania tych zadań, jakie postawiła przed naszą gromadą Partia i nasz Rząd Ludowy. Po zebraniach gromadzkich członkowie Partii i aktyw gromadzki z ZSL, ZSCH, ZMP chodzili jeszcze od domu do domu, przekonywując tych, co jeszcze zboża nie odwieźli, o słuźności i



Bartłomiej Twaróg z Łapowa, woj. Kraków.

Dobra gleba

Otóż najpierw, co do tytułu, jakim mnie obdarzyliście. Nie jestem sołtysem, to w gazecie się pomylili. Odznaczenie otrzymałem i dziękując za nie zastanawiam się nad tym wyróżnieniem.

U nas na wsi nie ma koła partyjnego (ani PZPR-u ani ZSL-u) i opieki większej nad naszą gromadą. W GRN-ie z naszej wsi przedstawicielem jestem tylko ja jeden. W Powiatowej Radzie nie mamy nikogo.

Powiem też samokrytycznie, że nie mam łączności z partią, choć od kontaktu z GRN-em najeżony przejsz do kontaktu z partią. Ale jak już powiedziałem, z drugiej strony też nie było zabiegów. A mimo to gromada wywalała się w 100% ze wszystkich obowiązków. Przewodniczący GRN powiedział, że nasza wsi stoi na pierwszym miejscu w gminie. Dwie trzecie gospodarzy już zakontakowało na I i II kwartał 1952 r. Ja otrzymałem odznaczenie za wywiązanie się w 100% w terminie ze wszystkich obowiązków względem państwa. Dlaczego się wywalałem? Bo jestem tego przekonania, że o ile mam coś wypełnić i mogę, to nie wolno mi zwlekać. Ale tak myśli nasza cała gromada mało i średniorolnych, bezpartyjnych. Co do siebie — domem, że nie przechodziłem niezwykłych kolej życia — Krzyż Zasługi jest więc nie tylko mój, ale całej naszej gromady, w której nie widać niczego niezwykłego poza tym właśnie, że taka zwykła, może nawet mniej niż przeciętna, bezpartyjna wsi, jest już dobrą, urobioną glebą na siew nowego życia. I o tym właśnie myślę z racji odznaczenia.

Trzeba u nas posłać więcej organizacyjnej pracy. Dziękując za odznaczenie, czuję że zarazem upoważniony przypominąć: zagospodarujcie naszą gromadę! To nie ugr, choć nie było jeszcze nowoczesnej orki.

Jan Kobylecki
Józefów gm. Czerniewice
pow. Rawa Mazowiecka

„Pracowałem na strychu“...

Posiadam gospodarstwo rolne ogółem 3 ha ziemi, do pomocy mam córki. Od 1945 r. spełniam obowiązki sołtysa. W roku 1946, ostatniego maja, zostałem napadnięty przez bandytów, którzy zabrali mi cały dobytek i jeszcze mnie pobili za to, że należałem do Partii. Zona moja dostała wtedy sercowej choroby, co spowodowało jej niezdolność do pracy.

W związku z tym obowiązki sołtysa miałem utrdunione. Bandy hulały w terenie, więc musiałem się ukrywać, a pisemne obowiązki wypełniałem w stodole lub na strychu. Byłem sam, gdyż ludzie obawiali się band.

Teraz praca społeczna idzie daleko lepiej, gdyż pomaga mi ob. Maria Grabowska, członek GRN, należy ona do gromadzkiej komisji kontrolno-doradczej i do komitetu rozdziałczego. Także pomaga mi ob. Stanisław Knapik, prezes ZSCH. Wciążnięcie nowych osób i stworzenie z nich aktywem gromadzkiego trwało długi czas, ponieważ musiałem uświadamiać ich. Dziś pracujemy inaczej, niż przed sześciu laty, a będziemy pracować jeszcze lepiej.

Stanisław Kubacki
Poznańskie Górnepow. Myślenice



J. Perdak z gromady Nowy Kościół, pow. Złotoryja.

konieczności sprzedaży zboża państwu. Często w tym czasie zwolywałem zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej, na które zapraszałem członków ZSL, ZSCH i ZMP i tu wspólnie radziłem nad wykonaniem w terminie w naszej gromadzie planów państwowych, nad usunięciem trudności.

Biorę udział w szkoleniu partyjnym II stopnia i to ogromnie mi pomogło w mej pracy, gdyż w czasie szkolenia zrozumiałem dopiero okładnie jak powinien pracować sołtys i sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej

Bolesław Kowski
gr. Majdan Surchowski,
gm. Kraśnice

CHŁOPI ODZNACZENI

Naprząd gromado!

Posiadam 2 ha. Na sołtysa wybranego zostałem w r. 1949. W naszej gromadzie są gospodarstwa od 1 ha do 8 ha, przeważają do 5 ha. Gromada nasza duża i rozciągnięta na 9 km kw., praca sołtysa nie jest więc łatwa. Utrudnia ją i zarazem polepszył fakt, że zostałem wybrany na wiceprzewodniczącego GRN. W GRN-ie zasiada jeszcze 3-ch rolników z naszej wsi. I muszę nadmienić, że w pracy na gromadzie bardziej pomagają jednostki, poszczególne aktywiści, niż całe koło, choć są u nas koła: FZPR-u, ZSL, ZSCH i ZMP. Organizacyjnej robotcie kół wiele by można jeszcze przynajmniej, tym bardziej, że ludzie w naszej wsi mają rozumienie dla obowiązków wobec państwa. Wywiązałem się w tym roku dobrze, tak, że PRN w Horoszczyce przydzielił aparat radiowy naszej szkole, a Zarząd Powiatowy ZSCH radio dla świetlicy, której nie posiadamy, choć cała gromada jej pragnie, aby móc być aktualnymi zagadnieniami dzisiejszej rzeczywistości i wielką pracą robotników.

Na zebraniach gromadzkich chłopcy zwracali się do przewodniczącego ZP ZSCH i do GS-u o przydział materiału, potrzebnego do odremontowania budynku, nadającego się na piękną świetlicę. Ponieważ nasze próśby spełzył dotąd na niczym zwracam się do Redakcji, aby ona przekonała wymienione instytucje o ważności dla życia naszej wielkiej gromady, świetlicy, a raczej nawet domu ludowego, gdzieby wszystkie koła mogły skupić i podnieść swoją pracę. Tak potrzebne byłoby w wielu stronach kraju zmniejszenie wielkości gmin i powiatów, aby wzrosła łączność między masami chłopskimi a władzą ludową. Toteż, kiedy mamy tak dużą wieś, jak nasza jakże potrzebny i konieczny jest ośrodek taki, jak świetlica dla wszystkich kół i całej gromady. Trzeba pomóc dużym wsiom, a one systemem gospodarczym dokonają reszty dzieła. Ja połączam nie tylko pracę w gospodarstwie z pracą sołtysa, ale obie te prace z obowiązkami w GRN — tak, że nie stawiam jednego obowiązku wyżej od drugiego, a przeciwnie, uważając jeden i drugi za obowiązki równie ważne, równie obywatelskie. I nie dlatego będę się bił o gromadę, że jestem sołtysem, ale, że jestem wiceprzewodniczącym GRN. Stąd lepiej jeszcze pojąłem potrzeby wsi i jej możliwości niewyżyskane. Dlatego do pisma Waszego podaję o GS-ie, niech dba o gromady.

Steciuk Franciszek
Horoszczyce gm. Dołkobyżów pow. Hrubieszów

Przekonani, a jeszcze nie zorganizowani

Chcę pokrótce scharakteryzować pracę jaką pełnię obecnie na stanowisku sołtysa gromady Wychny gminy Krośnice pow. Kutno. Trzon mojej gromady stanowią małorolni i średniorolni, którzy posiadają 2 — 8 ha ziemi, w tym także działkowicze, którzy otrzymali ziemię z reformy rolnej. Kiedy rozpoczęła się akcja planowego skupu zboża i ziemniaków oraz akcja podatków nie czekałem ani dnia w rozpoczęciu pracy uświadamiącej. Zrozumiałem swoje zadanie w tym, aby tłumaczyć chłopom znaczenie ich obowiązków obywatelskich wobec państwa. Z początku ta praca szła ciężko. Chłopi mówili: „mamy czas”, albo że w zeszłym roku jakoś nam szło, to i w tym roku jakoś pójdzie. Pomyślałem jednak, że kiedy się chce kogoś przekonać, trzeba być samemu przekonany i świecić przykładem. Posiadam 3,36 ha ziemi. W planie odstawienia 931 kg zboża oddałem Państwu Ludowemu 1.117 kg. Ziemniaków miałem wyznaczone 3 m, oddałem 12 m. Podatek wpłaciłem również w terminie, gdyż zdaje sobie sprawę jak dziś wygląda budżet państwowy, jaki procent np. idzie na kształcenie naszych dzieci na wszystkich uczelniach. W mojej gromadzie nie ma żadnej organizacji politycznej ani społecznej. W sierpniu powołana została komisja współdziałania wybrana przy pomocy przedstawicieli Gminnej Rady Narodowej. Komisja ta bardzo mało mi pomogła. O wiele więcej pomocy doznałem od czynników partyjnych. Kiedy FZPR wysłała swych agitatorów w teren celem uświadomienia chłopów, przybył do nas tow. Józef Królkowski, który mi w dużym stopniu dopomógł w mej pracy. Nie ograniczał się on bowiem do odpracowania pewnej ilości godzin, lecz niejednokrotnie nie wracając do rodziny, nocował w gromadzie i na wszystkie sposoby przekonywał mieszkańców mojej gromady o słuszności naszej gospodarki planowej. W wyniku tego moja gromada plan skupu zboża wykonała na dzień 25 listopada 1951 r. w 96,3%, natomiast ziemniaki odstawiliśmy w 160%, zaś podatek gruntowy został wykonany w 90%. Dziś jestem zadowolony ze swej pracy, gdyż uczyniłem wszystko, co było możliwe. Często zwoływałem zebrania gromadzkie, na których szeroko dyskutowaliśmy różne sprawy polityczne i gospodarcze. Porównywałyśmy stosunki przedwojenne i obecne na wsi. Długo dyskutowaliśmy nad referatem tow. Minca i to w dużym stopniu wpłynęło na uświadomienie chłopów na wsi. Gdy Prezydent Polski Ludowej odznaczył mnie srebrnym Krzyżem Zast

W Komitecie Gminnym

Od ósmego roku życia do czternastego chodziłem po służbach u bogatszych gospodarzy, następnie pojechałem z rodzicami na roboty do Niemiec. Gdy przyjechałem do domu, miałem lat 21 i zostałem powołany do wojska. Mając 25 lat przejechałem do Francji i byłem tam przez siedem lat. Po powrocie do domu, kupiłem 2,45 ha ziemi. Jestem członkiem PZPR oraz członkiem Komitetu Gminnego Partii. W mojej pracy dużo mi pomógł KG PZPR i dlatego też pierwszy wywiązałem się ze skupu zboża. W planie miałem odstawić 77 kg, a odstawiłem ponad plan 938 kg i potem poszedłem do poszczególnych gospodarzy, tłumacząc im i przekonując. Co dzień zachodziłem do Zespołu Kierowniczego i Komitetu Gminnego, gdzie wspomagałem mnie wskazówkami.

Nasza gromada ma czterech przedstawicieli w GRN. Są to: Ignacy Kaczmarek, sołtys gromady Wygieszów, Józef Kowalczyk, prezes ZSCH, Jan Tulej oraz ja. Naszym przedstawicielem w Powiatowej Radzie jest ob. Jan Tulej. Ja zaś jestem przewodniczącym Komisji Rolnej oraz należę do Komisji Finansów i Drogowej.

Skup zboża nasza gromada ukończyła 29 listopada br. w 100%, jako pierwsza gromada w naszej gminie.

Paweł Kubik
gromada i gmina Wygieszów pow. Łask

Decyduje dobra organizacja pracy

Gdy zostałem wybrany na stanowisko sołtysa od razu zabrałem się energicznie do pracy w naszej gromadzie, bo widziałem, że wykonanie obowiązków wobec naszej władzy ludowej zależy od dobrej organizacji i współpracy z gospodarzami i Gminną Radą Narodową. Gromada nasza Gosław, jest nie duża, liczy ona około 20 gospodarzy średniorolnych i małorolnych. Każdy z nas rolników jest swobodnym-obywatelami i wie, że robotnicy dostarczają nam narzędzi rolniczych, węgiel, obuwia, artykułów pierwszej potrzeby i wiele innych rzeczy, które są nam bardzo potrzebne, my w zamian za to odwdzięczamy się im przez wykonanie planu w rolnictwie i dostarczanie im zżęta i mięsa. Gdy nie mogłem sam rozwiązać jakiegoś problemu przy skupie, czy kontraktacji, to zawsze pomagał mi sekretarz gromadzki Podstawowej Organizacji Partyjnej, ob. Paszek Wiadysław, koło ZMP, które jest bardzo aktywne w naszej gromadzie oraz nasi czterej radni do Gminnej Rady Narodowej ob. ob. Pyziak Walenty, Welna Walenty, Królikowski Jan i Paszek Wiadysław.

Jakub Bury
wieś Gosław, gm. Łowkowiec pow. Kłuczbork

Staram się wskazywać prawdę

Urodziłem się w 1906 r. we wsi Pszary, gm. Lubotyń, pow. Koło jako syn prawie bezrolnego, gdyż ojciec mój posiadał 1 ha lichej ziemi, a była nas licząca na rodzinę, składająca się z dziesięciu osób. Ja, jako najstarszy, musiałem pomagać rodzicom od najmłodszych lat, gdy miałem osiem lat ojciec postanowił mnie oddać do szkoły kułackiej tj. na służbę. Przebywałem w niej do 17-ego roku życia, później dzięki zyczliwości pewnych ludzi zostałem praktykantem u kołodziej. Zabrałem się do pracy, mając przy sobie jako majstra człowieka już starszego, znającego świat i ludzi, który mi z czasem otworzył oczy na wyższy i niesprawiedliwy. Gdy nadszedł czas służby wojskowej, to zostałem z niej zwolniony z powodu przemęczenia i fizycznej słabości. Ze łzami w oczach rozstałem się z majstrzem, gdy szedłem na dalszą pracę i tak pomiędzy ludźmi przebywałem sześć lat jako czeladnik-kołodziej. W 1931 r. ożeniłem się z dziewczynką, która tak jak i ja przeszła przez szkołę kułacką. Otrzymałem w spadku po jej rodzicach 1,3 ha ziemi w Trzebucach, mej obecnej gromadzie. W latach okupacji pracowałem przymusowo w majątku, po wywołaniu otrzymałem 5 ha z reformy rolnej. Zaczęłem z zapałem pracować na swoim. W 1947 r. zostałem wybrany sołtysem i starałem się mobilizować ludzi swoim przykładem, w myśl zasady, „jak cię widzą, tak cię piszą”. Gromada moja jest średniorolna, jest tylko jedno gospodarstwo kułackie. Składa się ona przeważnie z parcelantów.

Z swej strony staram się przekonać mieszkańców mojej gromady o planach gospodarczych i udawało mi się to stopniowo, ludność zaczęła do mnie nadierać zaufania, gdyż starałem się za-

wsze wskazywać prawdę. Nie zważam na porę dnia i nocy, zawsze jestem w gromadzie i pomiędzy ludnością, łatwiejsze sprawy staram się likwidować sam, a w trudniejszych porozumiewam się z Gminną Radą Narodową, w której zasiada dwóch naszych przedstawicieli: Władysława Florkowskiego i Władysława Piekarskiego, średniorolni gospodarze. Pracę ich gromada uważa za dostateczną i dzięki temu opieramy się w swej działalności na kolektywie. Wypełniliśmy skup zboża w 103 proc., również wykańczamy plan kontraktacji.

Stanisław Kocański
Gromada Trzebucach, gm. Budziszów pow. Koło

Samokrytycznie

Urodziłem się w 1919 r., jako syn małorolnego, ojciec mój miał 1,3 ha ziemi. Było nas dwóch braci, brat mój również jest sołtysem w gromadzie Wisławiec, gm. Stary Zamość. I ja z bratem dzielimy się doświadczeniami ze swej pracy. Moja gromada ma dosyć duża, bo posiada 208 gospodarstw o różnym charakterze majątkowym i ma długość 4 km, tak, że jest gdzie się nabiegać. Przed 1939 r. z gromady należało paru chłopów do KPP, m. inn. tow. Stanisław Sobstyl, który jest i sekretarzem KP we Włodawie.

Jeszcze w sierpniu br. gromada nasza odstawiła zbiorowo zboże, było ok. 50 wozów, na których przewieziono 350 metrów, i orkiszami mieliśmy własną, składającą się z ośmiu muzyków. Po pierwszej zbiorowej odstawie były jeszcze dwie dalsze. Plan skupu zboża dobiega końca, podatek gruntowy spłaciliśmy w 100 proc., FOR w 100 proc., kartofle w 120 proc. Muszę się przyznać, że Pożyczkę Narodową zostawiłem w 20 proc. Wpłynął na to fakt, że gospodarze nie odwieźli jeszcze tytoniu na punkt skupu, a to jest odmiana, zwana „Pułaską”, która wymaga dłuższego okresu suszenia, na skutek czego chłopci nie mają za wiele gotówki. Nie można pominąć jednak tego, że jako sołtys i jako sekretarz Podst. Org. Part. pozostawiłem pożyczkę w oderwaniu od innych planów gospodarczych.

Dużo pomocy miałem ze strony Podstawowej Organizacji Partyjnej a szczególnie towarzyszy: Józefa Zacharyńskiego i Jana Sobstyla, z którymi zbierałem się i radziłem wspólnie, jakby sobie pracę zorganizować. Również i członkowie ZSCH pomagali nam, jak: Józef Stefaniak czy Jan Dobosz, którzy często kontaktowali się ze mną. Natomiast koło ZMP, które liczy w nas 30 członków, a więc jest dość duże, wykonało mało inicjatyw. Nie można pominąć tego, że Zarząd Gminny ZMP nie dokłada starań, aby wychować i ubogacić swych członków. Jest w tym i trochę niedopatrzania ze strony naszej Podstawowej Organizacji Partyjnej, więc jako sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej przyrzekam w 1952 r. włączyć ZMP do prac społecznych.

Co piątek chodzę na sesję sołtysów do Gminnej Rady Narodowej i zabieram swego zastępcę ob. J. Nużyńskiego, tak by wiedział o wszystkim. Często kontaktuję się z Komitetem Gminnym PZPR i jego sekretarzem tow. Galeskim. Co sobota uczęszczam na szkolenie partyjne II-go stopnia.

W mojej gromadzie jest przewodniczącą GRN tow. Józef Krup, z którym również radzę się co do wykonania planów gospodarczych.

Bolesław Józwiak
Gromada Łętyczów, gm. Krasnostaw

O gromadzką radę

Urodziłem się w rodzinie folwarcznej i całe swoje życie spędziłem na pracy we dworze; do czasu reformy rolnej pracowałem w majątku hr. Scypio de Campo, jako wyrobnik. Dzięki reformie rolnej otrzymałem 3,5 ha ziemi. W 1950 r. zostałem wybrany na stanowisko sołtysa w gromadzie Brzeżce, gmina Piaski k. Lublina. Na tym stanowisku pozostaję do dnia dzisiejszego.

W pracy gospodarskiej pomaga mi żona, gdyż dzieci mam w wieku szkolnym i przedszkolnym. Starsza córka kończy w tym roku. Liceum Pszczelarsko-Rolnicze w Pszczelnej Woli, młodsza uczęszcza do klasy siódmej, a dwoje małych do przedszkola. Działka moja oddalona jest od domu 2 km, dlatego jest mi ciężko. Mimo to wywiązałem się z zadaniem ze wszystkich obowiązków względem państwa, a w moje ślady poszła cała gromada Brzeżce, zajmując pierwsze miejsce w gminie Piaski w planowym skupie zboża, świadczeniu podatków i innych obowiązkach na rzecz państwa. Gromadę moją zamieszkuje mało i średniorolni chłopcy. Jeden tylko ma 9 ha.

W pracy mojej pomaga mi sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR tow. Edward Śzwajkowski. Na zebraniach omawiamy przebieg akcji planowego skupu zboża i innych świadczeń. Prowadziłem sam i z członkami organizacji akcję uświadamiąjącą wśród mieszkańców. Do tej akcji przyłączyło się nasucielstwo, które starało się wpływać przez dzieci na rodziców oraz brało udział w pracach uświadamiąjących w gromadzie.

Uczęszczam systematycznie na wszystkie odprawy sołtysów i na narydady wytwórcze. Wszelkie wskazówki otrzymane na nich wprowadzam w życie. Sam jestem członkiem Gminnej Rady Narodowej i staram się pracować z jej Prezydium.

Według mojego zdania potrzebne jest wyrabianie się na wsiach gromadzkich rad. Rady takie powinny być wspomagane przez poszczególne grupy kontraktatorów.

W. Karwat
Gromada Brzeżce, gm. Piaski woj. lubelski

ANDRZEJ WALICKI

TRUDNA I PIĘKNA DROGA TWÓRCZA



Konstanty Fiedina

SPÓR O ZAMECZONĄ KLACZ

MUSIAŁEM zwalić z siebie gruz, który ciążył na mnie przez całe dziesięciolecie. Był to płód mego życia w starej literaturze — pisze Konstanty Fiedina o swoim pierwszym zbiorze opowiadań pod symbolicznym tytułem „Pustkowiec” (1923). Szarzy, „maleńcy” ludzie, u-nieni, skrzywdzeni, pokorni i bezbronni, żałosne potworki, epileptycy, pół żywe szczeni, zameczona klacz, ciągnąca z wysiłkiem zbyt ciężki na jej siły wóz — oto jedyni mieszkańcy fiedinowskiego „Pustkowieca”. „Najbardziej zahukany, ostatni człeczyzna też jest człowiekiem i wie się moim bratem” — pisał Dostojewski. Dostojewszczyzna z jej biernym, nie wyważającym do walki humanizmem, ideą nieuniknioności cierpienia, z jej zainteresowaniem dla tego, co chore i bolesne, była właśnie owym gruzem, który zrzucić musiał z siebie niejedyn pisarz radziecki, by wyrwać się z zaczerpniętego kręgu starej tradycji, przejść od ideologii obronnej i bezpłodnej ofiary do ideologii walki, stworzyć obraz człowieka na miarę swych czasów, człowieka, którego imię brzmi dumnie.

„Uczucie moje — pisał Fiedina w roku wydania „Pustkowieca” — ciąży ku człowiekowi prostemu, ku człowiekowi biednej powszechności, niezauważonego trudu — ku niewinnej klaczy przewożącej ciężki wóz historii z epoki w epokę...” Obraz zameczony klaczy dominuje w najobszerniejszej noweli „Pustkowiec” („Anna Timofiejewna”), urasta do rzemieńców symbolu dla całego zbioru. Inne są jednak symbole produkujące ideologię — nowa, bolszewicka epoka przeciwstawia bezsilnemu humanizmowi mieszczańskiemu humanizmowi rewolucyjny. „Po stołroć bardziej zasługuję na miano bohatera ten, kto woli umrzeć w otwartej walce z obrzońcami i stróżami niekwestionowanych stosunków, niż umierać powolną śmiercią zahukanej, naderwanej i pokornej klaczy” — te słowa Lenina (t. 5, s. 13) stanowią jakby bezpośrednią odpowiedź na książkę Młodego Fiedina.

Młody pisarz nie od razu zrzucił z siebie ciężary na nim gruz. W wielu jeszcze jego opowiadaniach powrócą bohaterowie „Pustkowieca”, żałośni dziwacy, mieszkańcy prowincjonalnych miasteczek, trzymający się z uporem przyzwyczajęń dawnego życia, mimo, iż takie życie zmiecione zostało przez rewolucję. Nie mogło mu pomóc w zrzuconiu resztek starego gruzu formalistyczne towarzysztwo literackie „Braci Serafionowców”, którego członkiem był wówczas. Punktem zwrotnym stała się osoba pomoc i przyjaźni Maksyma Gorkiego — rady i przykład największego pisarza proletariackiego stały się dla Fiedina drogowskazem w jego dalszej, trudnej i pełnej sprzeczności drodze twórczej.

INTELEGENCJA I REWOLUCJA

Powieść Fiedina „Miasta i lata” (1924) jest już świadectwem przełomu. Ideologia biernego dobroci, literackiej i chrześcijańskiej - dekadencej i miłosierdzia została oskarzona i osądzona. Mieszczański humanizm, stołowski lek, iż sprzeciwianie się złu przemocy powiększy jedynie istniejącą sumę zła, stają na drodze do rewolucji bohatera książki, inteligenta Andrzeja Starcowa. Ocalając wroga rewolucji margrafa Szrenay, popełnia Andrzeja przestępstwo i ginie z rąk przyjacela, bolszewika Kurta. Autor osądza swojego bohatera, współuczucia mu zarzemu. Andrzeja ginie, gdyż będąc dobrym nie potrafi czynić dobra — jego wskaźnikiem życiowym jest abstrakcyjna „miłość”, podczas gdy w rewolucji potrzebna jest miłość do idei, a sła nienawiści do wroga. Nie potrafił „podporządkować osobistego życia surowym lecz wielkim prawom czasu” — los jego był nieunikniony: „Szkło nie stapia się z żelazem i my nie możemy nic zmienić w losie Andrzeja” — pisze autor.

Do wątku takiego doprowadził Fiedina nieprzełamana, mieszczańska idea rzekomo nieuniknionej konfliktu osobowości z prawami rozwoju społeczno - historycznego. Andrzeja Starcowa nie był nieuniknioną ofiarą

rewolucji — nowe, rodzące się życie przyjęło, wbrew słowom autora, najlepszą część dawnej inteligencji, a nie skazało jej na śmierć w pustkowie starego świata.

Po dwudziestu trzech latach od pierwszego wydania „Miast i lat” sam Fiedin określił los swego bohatera nie jako typowy, lecz wyjątkowy.

Wewnętrzne sprzeczności światopoglądu Fiedina, związane z niecałkowitym jeszcze przełamaniem drobniomieszczańskiego indywidualizmu, znalazły swój najostrejszy wyraz w „Braciach” (1928), powieści, w której postawił Fiedin problem losów inteligencji twórczej, rewolucji i sztuki. Indywidualizm, potępiony w „Miastach i latach”, znalazł w „Braciach” częściowe usprawiedliwienie — tragizm sztuki polega właśnie na nieuniknioności indywidualizmu, a co za tym idzie, samotności, wyobcowania ze społeczeństwa. Muzyk, Nikita Kariew, stworzył symfonię, która „zamknęła w sobie wszystko najlepsze, co przyniosła rewolucja” jedynie dzięki samotności, dzięki oderwaniu się w procesie twórczym od świata otaczającego. Tego rodzaju jednak ocena „Braci” byłaby jednostronna. Fałszywą jest idea artysty jako ofiary życia, które jest pozerającym go ogniem. Głęboko sznużąc natomiast jest idea jednostki sztuki narodowej i rewolucyjnej, idea związku artysty z życiem, mimo, iż jest on powodem jego męki twórczej, rzekomego „tragizmu”. Fiedinowski Nikita Kariew staje się bezpłodny, gdy tylko zrywa „tragizm” dla siebie związek z ojczyzną i rewolucją. Cała powieść wymierzona jest przeciwko formalizmowi i kosmopolityzmowi w sztuce.

W „Braciach” wystąpiły najjaśniejsze sprzeczności światopoglądu Fiedina, nie umiejącego jeszcze ustrzec się od wpływu burżuazyjno-indywidualistycznych poglądów na sztukę, od teorii rzekomego konfliktu indywidualności i socjalizmu. Niemniej powieść ta stanowi wielki krok naprzód na drodze twórczej pisarza. O ile komunisty z „Miast i lat” mówią gotowymi formułami, nakreślają sz schematycznie, tak, iż rozdwójnili inteligent, „złębny człowiek”. Starcow, przewyższa ich wszystkich swą głębią psychologiczną i artystyczną prawdą, o tyle bolszewik Rodion Czorbów z „Braci” jest już w znacznie większym stopniu wolny od schematyzmu.

W POSZUKIWANIU „PRZECIWWAGI”

W okresie przedterminowego wykonywania pierwszych pięcioletnich stalinowskiej ukazuje się powieść Fiedina „Porwanie Europy”. Tytuł książki ma głębokie znaczenie symboliczne — proletariacki „porwanie burżuazyjną Europę”, kraj socjalizmu odbiera kapitalistycznej Europie jej techniczną, cywilizacyjną i kulturalną przewagę. Wyśmiana zostaje dotychczasowa, pozostawiająca łaskawie rosyjskiemu „wschodowi” monopol na „głębę ducha”, ksztem wyzerczenia się technicznego postępu. W książce swojej pokazuje Fiedin walkę dwóch światów, dwóch wrogich światopoglądów — świata pozabawionego przyszłości i świata, do którego należy przyszłość. Stary świat kapitalistycznej Europy jest jeszcze silny, rozporządza ogromem bogactw i środków materialnych, niemniej odchodzi w przeszłość, zwyciężony przez krzepnącą potęgę socjalizmu.

Bohater powieści, holenderski „król lasu”, Filip van Rossum, wyjeżdża do ZSRR w nadziei podporządkowania sobie radzieckiego rynku. Spodziewa się, iż kapitalizm zwycięży socjalizm w drodze walki ekonomicznej, iż Kraj Rad przekształci się w państwo kapitalistyczne pod wpływem kapitału światowego. Stalinowska pięcioletka zadaje drugoczasy cios owym planom.

Rozdziały książki poświęcone kapitalistycznej Holandii, widzianej oczyma bolszewika Rogowa, zadziwiają ostrością widzenia, obnażającą społeczność kapitalistyczne, rządzone prawem „wzajemnego wyniszczania”. Artystyczna i ideologiczna przeciwwaga tych obrazów są ustępy książki, oddające po mistrzowski patos budownictwa socjalistycznego, nowe życie, tworzone w ZSRR.

„Przeciwwaga” świętego i wykończanego artystycznie drańcy kapitalistycznego Filipa van Rossum miał być w założeniu autora jednolity i konkretny obraz bolszewika.

W „Porwaniu Europy” brak jednak takiej postaci. Socjalistyczna przeciwwaga van Rossumu dana została przynajmniej w dwóch, jeśli nie w większej ilości obrazów — w obrazie aktywisty partyjnego Siergiejczka i inteligenta socjalskiego o bogatym życiu duchowym Rogowa, zadającego kłam teorii o zubożeniu życia psychicznego i zdławieniu indywidualności ludzkiej w kraju socjalizmu. Prawdziwym bohaterem książki jest jednak kapitalista. „Mówię szczerze — pisze Fiedin — iż nie znalazłem jeszcze dla swej powieści „przeciwwagi” Filipa”. A znalezienie pełnowartościowej artystycznej przeciwwagi socjalistycznej dla kapitalistycznego przeciwnika uważał Fiedin za jedno z głównych zadań literatury radzieckiej.

Poszukiwanie pozytywnej przeciwwagi dla negatywnego bohatera to poszukiwanie drogi do realizmu socjalistycznego. W omówionych dotychczas książkach Fiedina nie brak

postaci niewątpliwie dodatnich, mniej lub więcej udanych obrazów bolszewików. Brak jednak w nich bohatera pozytywnego o roli organizującej, wyznaczającej konstrukcję powieści, bohatera, którego obraz byłby w powieści obrazem centralnym.

ODNALEZIENIE BOHATERA

„Porwanie Europy” to ostatnia większa powieść Fiedina przed Wielką Wojną Ojczyźnianą 1941—1945. Dla wielu pisarzy radzieckich, w ich liczbie Fiedina, wojna ta stała się wybitną pomocą w zrozumieniu rosyjskiego rewolucyjnego charakteru, prawdziwości historii, potęgi własnego kraju.

Wydana w latach 1946—48 dylogia powieściowa Fiedina — „Pierwsze porwy” i „Niezwyczajne lato” — to owoc głębokich przemyśleń autora nad wydarzeniami Wielkiej Wojny. Poznacie tylko nie wiąże się ona bezpośrednio ze współczesnością. Aby zrozumieć źródła siły narodu socjalistycznego, prawdziwość rozwoju historycznego, musiał się autor cofnąć do „pierwszych porwy” rosyjskiego ruchu rewolucyjnego i do „niezwyczajnego lata” 1919 roku, w którym w ogniu wojny domowej „harowała się stał”.

Głęboko myślnym wydaje mi się zdanie recenzenta „Nowej Kultury” (H. Bereza, N. K., Nr 44), iż w dylogii Fiedina „tylko pozornie głównymi bohaterami są robotnik rewolucjonista Ragozin i jego towarzysze w walce i pracy, student szkoły technicznej, syn nauczycielki Kirył Izwiakow”. Zamiarem autora, który udało mu się w zupełności przeprowadzić, było nie danie nam „marksistowskiej monografii mieszczaństwa i mieszczańskiej kultury”, lecz pokazanie „jak pierwsze radosne zapętki przyszłości, nowego życia, dojrzenia, rozszerzają się, wypierają mrok i ograniczoność starej moralności, ucisk zastarych stosunków międzyludzkich, bezradność starego bytu” (Brajnina, „K. Fiedin”, Moskwa, 1951). Świat reakcyjnego religianta, kupca Mieszkowa, zamykanego gogusia, kupca Szubnikowa, sługusa prokuratury carskiej, Oznobiszyna wraz z jego „moralnością” i „kulturą”, znajduje się w defensywie, odchodzi w przeszłość. Szubnikow, Mieszkow i Oznobiszyn znakomic, z naukową ścisłością sportretowani zostali w powieści — niemniej nie oni są jej bohaterami. Po latach długich i uciążliwych poszukiwań udało się Fiedinowi odnaleźć ich przeciwwagę — już nie w postaci wewnętrznie rozdwojonego, psychicznie chorego inteligenta, bądź pozabawionego prawie życia wewnętrznego, abstrakcyjnego aktywisty partyjnego Fiedinowi udało się odnaleźć bohatera — godnego wielkości swych czasów.

Izwiakow i Ragozin to ludzie, dla których nie istnieje męcząca niedogoda Fiedina sprzeczność między jednostką a społeczeństwem, ludzie rozumiejący, że właśnie „społeczeństwo socjalistyczne jest jedyną trwałą gwarancją ochrony interesów jednostki” (Stalin). W walce rewolucyjnej nie automatyzuje się ich życie psychiczne, ale pogłębia, staje się coraz bardziej bogate i złożone. Historia miłości Izwiakowa — pierwszego bohatera fiedinowskiego szczególnie w miłości, jego ukończenie książki i wzruszające marzenia o własnej bibliotece, nie miały i wstydliwa miłość Ragozina do odnalezionego syna, historia stosunku Izwiakowa do Lwa Tołstoja — od młodzieńczego zaciętrzewienia do sprawniejszej oceny i głębszej czi — wszystko to przekonywuje czytelnika, iż nie ludzkiego nie jest obce tym rewolucjonistom, że nie są oni zaślepieni, lecz wprost przeciwnie — widzą i rozumieją daleko więcej niż pisarz Pastuchow, czy aktor Cwieluchin. Rewolucja nie niszczy miłości, przyjaźni — lecz stwarza dla nich warunki, nie drugocze marzeń — lecz je realizuje. Marzący od dzieciństwa o zalesieniu rodzinnych stępów nadwołżańskich Izwiakow w rewolucji, nie przestając być marzycielem, staje się działaczem. „My, komunisty nie możemy mieć nieokreślonych marzeń — przemawia w powieści Ragozin nad grobem starego marzyciela - utopisty, ulubienca dzieci, Arsenia Romanowicza. — Budować bez określonego celu i planu nie wolno. Ale nasz program zawiera w sobie całą tę przestrzeń morza, która potrzebna jest dla marzeń.

Ten bezmiar, który tak pociąga czystą wyobraźnię dziecka, wymagającą od świata sprawiedliwości, piękności i szczęścia”.

W centrum zainteresowań Fiedina leży obraz bolszewika, człowieka, którego życie duchowe nie zwęża się w rewolucji, lecz rozszerza, które, nie zatrzymując wrażliwości na nic z tego „co ludzkie”. Burżuazyjny indywidualizm skazany jest na zagładę, lecz osnowowo ludzka zyskuje w służbie komunizmu najwspanialsze możliwości rozwoju.

BILANS TWÓRCZOŚCI

W „Pierwszych porwach” i „Niezwyczajnym lecie” znalazły rozwiązanie i podsumowanie niemal wszystkie problemy i zagadnienia dotychczasowej twórczości Fiedina — zagadnienie inteligencji, sztuki, indywidualności, moralności, prawdziwości rozwoju historycznego.

(Dokończenie na str. 5)

* Konstanty Fiedin — Pierwsze porwy, tłum. St. Strumpp-Wojtkiewicz, Książka, 1948.
* Konstanty Fiedin — Niezwyczajne lato, tłum. R. Czekańska Heymanowa, Książka i Wiedza, 1951.

HENRYK WORCELL

N A R A M P I E

Od tygodnia już ładujemy ziemniaki do wagonów na bocznicy kolejowej w Trzebiezowicach. Praca diabelnie ciężka, ale płaćna — nasz dzienny zarobek wynosi przeciętnie 50 zł. Pogoda na szczęście cudowna, z rana przymroki, że ręce trzeba zabijać, ale późniejsze słońce przygrzewa tak, że zrzucamy z siebie wierzchnie okrycie. Pracujemy w czwórce: Kolenda i ja syplimy ziemniaki z wielkiej kupy do wiklinowych koszy i kosze te z rozmachem stawiamy na „próg” wagonu, a nasi współpracownicy, Knułowicz i Więcek, taszczą je w głąb wagonu. W



Na rampie

miarę przybywania ziemniaków praca staje się coraz cięższa, zastawki w drzwiach podwyższają się, kosze trzeba coraz wyżej wznosić, a ci dawaj w wagonie muszą chodzić w pozycjach mocno zgarbionych, by nie obijać głów o wianuski dachu. Ładowność wagonu winna być regulaminowo wykorzystana, tzn. musimy ładować pełne 17 ton. Termin załadunku: godzina trzecia po południu. W razie spóźnienia, wagon zostaje na bocznicy do następnego dnia i GZZ płaci postojowe, więc nie gniewamy się, gdy kierownik trzebiezowickiego magazynu Polacek, depcze nam po piętach i sam niekiedy pomaga napełnić kosze. Werbowal nas do tej roboty nie bez powodów, gdyż nie łatwo w tym czasie o robotników sezonowych. Chłopi wykorzystują pogodne dni, sieją, orzą, kopią buraki. Młodzież na rozmaitych kursach, w szkołach, na praktyce. Wszelkie sily zbudne na gospodarstwach rolnych pochłaniają okoliczne zakłady przemysłowe: wielka roszarnia i przędzalnia w Odrzychowicach oraz tamtejsza fabryka „Wiecznych piór”, f-ka Przetworów Owocowych w Trzebiezowicach, f-ka Krysztalu oraz f-ka Kłodzkie, kamieniołomy w Rogoźcu, wreszcie las, ten dookólny las, który zimą i latem daje sute utrzymanie tylko ludziom miejscowym, ale i ściągającym z województw centralnych. Wszystko to jest w ruchu, idzie pełną parą, Plan 6-letni ogarnął ten daleki zakątek ziemi przedsiudeckiej, włączył go w przemysłową rozбудowę całego kraju. Toteż kierownik Polacek miałby prawo upomnieć się w ZSCH o odszkodowanie za żelówki zdarte w poszukiwaniu robotników do ładowania ziemniaków i zboża. Znalazł Kolenda, robotnika kopalnianego, bo ten akurat miał dwutygodniowy urlop. Znalazł Knułowicz, bo ten korzystał jeszcze z urlopu zdrowotnego. Więcek zaś, to młody, krepki chłop na 6-cio hektarowym gospodarstwie, który się uwinął z robotami polnymi i teraz ma parę dni wolnego czasu. Znamy on jest w Trzebiezowicach z tego, że nigdy nie zalega z podatkami, w tym roku zdał zboże z 90 proc. nadwyżką, ale nie chwali się tym, mruk z niego, jakich ma. A co do mnie... No tak, dobry, dorywczy zarobek swoją drogą, ale prócz zarobku miałem ja tam, na rampie, jeszcze coś innego do szukania.

W pierwszym dniu, kiedy jeszcze nie byliśmy zgrani, robota szła opornie. Nadmierny pośpiech, częste odpocynki, palenie papierosów, ożywione rozmowy — wszystko to opóźniało naszą robotę i przedkładało nam męczący — ledwie, ledwie zdążyliśmy wyeksplodować wagon na godzinę trzecią. Następnego dnia zaczęliśmy wcześniej i bez gadania. Chwyciliśmy „długi oddech”, pracowaliśmy miarowo, bez krótkich przerw, które raczej męczą niż dają wypocynek. Od razu też któremś z nas przyszło na myśl, żeby rachować kosze i znaczyć je kredą na drzwiach wagonu. Obliczyliśmy, że 17 ton równo się 340 pełnym, pięćdziesięciokilowym koszem. Zaczęliśmy je rachować. Atoli w godzinę później, gdy słońce grało już mocno w nasze obolałe krzyże, Knułowiczowi wpadła do głowy nowa myśl.

A czy nie byłoby lepiej znaczyć od razu po 20 koszy? To przecież cała тона!

— Pewnie, że lepiej! — przytaknął Kolenda — siedemnaście takich porcji i wagon gotowy. Trza było tak od początku...

Kolenda i ja wiedzieliśmy, że praca w wagonie jest cięższa niż nasypywanie i donoszenie, a jednak nie chcieliśmy się zmieniać z tamtymi dwoma. Mięśnie nasze już przywykły do uregulowanego wysiłku dźwigania i podrzucania koszy i każdą zmianę tego wysiłku na inny, choćby o wiele lżejszy, musielibyśmy okupić nowym treningiem. Po wtóre, tu, na rampie słońca, rzeźkie powietrze i widok na góry.

Trzebiezowice leżą w dolinie ciągnącej się z zachodu na wschód, od Kłodzka do Łądka-Zdroju. Zalesione góry od strony południowej spływają stromo aż pod tor kolejowy, a znacznie

łagodniej od północy ku wsi liczącej 120 numerów i ciągnącej się razem z żółtym i potokiem na przestrzeni prawie 3 kilometrów. O tej porze roku, w połowie października, okoliczne lasy zdadają swój drzewostan przepięknym nasyceniem barw. Przede wszystkim rzuca się w oczy jaskrawo żółte ulistnienie brzoź. Pełno ich wszędzie: rosną wzdłuż polnych, wezwowało wygiętych dróg, pałają się jasnym płomieniem całe zagajniki wśród łąk i ciemnej masy świerków. Łatwo też odróżnić smukłe i wystrojone w seledynową szatę modrzewie, trudniej cokolwiek dostrzec polne czerwień oraz buki czerwieniujące ciemno jak poblask nieba późno po zachodzie słońca. Te lasy, to bogactwo ziemi kłodzkiej. Stąd idą na cały kraj transporty kopalniaka, progów kolejowych, słupów teletechnicznych, papierowych, stąd, z pobliskiej fabryki w Radochowice miazga drzewna na wyrób papieru.

Oto nadjeżdża olbrzymia, doczepiona do „Ursusa” lora naładowana kopalniakiem — szofer ostrożnie wymija furmanki stojące na rampie. Obok szofera siedzą dwaj bracia Zychonie. Poznają ich z daleka, to moi starzy znajomi, robotnicy leśni ze Skrzynki. Wyszli tam w roku 1947 najwięcej przyczynili się do wycięcia kornika na terenie tamtejszego leśnictwa, a teraz równie umiejętnie transportują drzewo na stację w Trzebiezowicach. Warto zobaczyć, jak oni to robią! Jak na poczekaniu budują pomost, jak opuszczają łańcuchy i „zebra” lory i jak przeciągają kłody po pomoście na stos! Hurgot przy tym, jakby się góra waliła, a uciechy jeszcze więcej. Korzystam z przerwy w pracy i witam ich. Wspominamy stare, a przecież tak niedawne dzieje „rewolucji guranowskiej” w Skrzynce. Wiele się tam zmieniło w ciągu ostatniego roku, w okresie, gdy mieszkalem w Jasienicy Dolnej pod Nysą. Dawny sołtys odbywał swoją karę w obozie pracy. Nie pomogli mu plecy powiatowych i gminnych wielmożów, nie pomogły pieniądze zdobyte z szabru ani protektor, leśniczy Gradek. Kulaka Gajusa wykluczono z partii, stracił swoje wpływy na terenie gminy, siedzi teraz cicho, czekając aż go „Amerykanie wyzwolą” spod nieznosnej dyktatury gromadzkiej. Jego sojuszników, Kobryńskich i Wilka, też wykluczono. Ten ostatni tak się dorobił na gospodarstwie, że zdołał wybudować w swej rodzinnej wsi pod Żywcem piękny dom i kupić 2 ha ziemi. Chciał się tam przeprowadzić, ale władze nie pozwoliły mu opuścić gospodarstwa w Skrzynce. Co do leśniczego Gradeka, to sprawa przedstawia się ciekawiej. Już nie jest sekretarzem Podstawowej Organizacji Partijnej. Sam zrezygnował z tego stanowiska i sam ostro skrytykował swój protekcyjny stosunek do byłego sołtysa i jego kliki. Będem jego było to, że chciał „z wszystkimi ludźmi żyć dobrze, każdemu iść na rękę”, łagodził wszelkie klasowe konflikty w imię ofiar, jakie społeczeństwo polskie poniosło w ciągu wojny. Długo trwało zanim zrozumieli, że sily reakcyjne w Skrzynce, upostaciowane w Gajusia i dawnym sołtysie, to w zasadzie te same sily, które spowodowały hekatombę milionów ludzi nie tylko w Polsce.

Wieżko od Skrzynki uchylilo się, Gradek zobaczył jakie diabli siedzą na dnie. A bracia Zychonie wyrażają się o Gradku ze skąpym uznaniem: — Zmienił się chłop na dobre, to trzeba mu przyznać. Ale bojącem, takim aktywnym partyjnym, to on nićw nie będzie, bo jest do ludzi za miękkim. Łatwo go nabierają na „sumienie” i antyklasowy patriotyzm.

Wspominamy korespondenta „Gromady” Oleszkę, który przeszedł partyjne wykształcenie i teraz zajmuje stanowisko sekretarza KG w okolicach Piły, wreszcie mówimy o całej gromadzie w Skrzynkach. — Za czasów tamtego sołtysa i Gajusa — opowiada starszy Zychon — to było najgorzej, że ludzie, którzy chcieli z nami iść, nie wierzyli w naszą siłę. Powiadał tak: „co my takiemu sołtysowi zrobimy, kiedy on wszędzie ma pomoc. Takimiu lepiej się nie narażać, nie wtykać palca między drzwi”. Niektórzy to nawet woleli trzymać stronę sołtysa i razem z nim nagonkę na pana organizować, bo im się zdawało, że pan i tak stracony, a sołtys dalej będzie gromadą trząsał. A inni znów pytali się: „gdzie ta władza ludowa, gdzie ta sprawiedliwość, o której tyle w gazetach piszą?” Wtedy ludzie chcieli sprawiedliwości, ale żeby tanim kosztem przyszła, chcieli władzy ludowej, ale bez walki. Mnie to najwięcej szarpie, kiedy ludzie chcą, żeby im wszystko darmo z nieba spadło.

Jeszcze w zeszłym roku sporo było takich, co się szarpali przy skupie zboża, a najwięcej Wilk. A tej jesieni... Ot, w niedziele było zebranie, sołtys Stanecki wyczytał, kto zdał i wyszło na to, że do 14 października wieś wykonała już plan skupu w 75 proc. Ładnie, o wiele lepiej niż w zeszłym roku. A jak przyszło do budowania mostu, to leśniczy Gradek dzień w dzień koło tej sprawy chodził, a Katuski dał połowę budulca ze swojego lasu.

W tej chwili, gdzieś tam dalej, koło wagonu, do którego chłop ładował buraki cukrowe, wybuchł rozruch i krzyk. Zrobił się tam zator, wozy z burakami i z papierków zatarasowały przejazd, a właśnie nadjechał wielki samochód „Skoda”, wiozący biały marmur z kamieniołomów w Rogoźcu. Dziś jak zresztą codziennie, ekipa składająca się z sześciu ludzi, którym przewodzi brygadysta Kawa, miała za zadanie załadować do godziny 15-ej pięć wagonów marmuru. Zapotrzebowanie na ten cenny surowiec wzrasta z dnia na dzień, zakłady przemysłowe, gmachy, elektrownia potrzebują coraz więcej cegieł i kamieni. Brygadysta

Kawa zeskakuje z samochodu, wścieka się na chłopskie furmanki, każe im jechać dalej. Gdy chłop ruszył i narobili jeszcze większego bałaganu zahaczając osiami o nasienie wozy, Kawa sam chwytając za lejce, cofa konie do tyłu, puszcza znów do przodu, klnie i w końcu oczyszcza drogę. — Jazda! — machnął ręką i samochód pojechał dalej, aż pod stojące rzędem wagony, do których w minutę później przeładunkowcy zaczęli wrzucać białe, kańciaste kamienie.

Osobliwy to człowiek ten Kawa, osobliwy jego los. Jest to urodzony awanturnik, karany już kilkakrotnie za bójki i pijaństwo. Jest niepoprawny, trudny do ujarznienia jak wezbrana rzeka, temperament zdawałoby się nieokiełznany. Sam siebie się boję — mówił mi kiedyś. — Muszę zawsze coś robić, bo jakbym nie robił, to by mnie rozzerwało. Albo mi dacie flaszkę wódki, albo kilof do ręki. — Jakby tak było jak przed wojną, jak bym był bezrobotnym to bym chyba z kryminału nie wyszedł. Mnie trzyma ta robota przy kamieniach i cieszy jak iść akordowo, jak odwalam normy i wysyłam w świat wagon za wagonem. I to mnie poskramia, że jestem tu potrzebny. A nawet jak się kiedy wieczorem napiję, to już mnie coś wstrzymuje i pukam się w głowę; daj chłopie spokój, bo jutro masz pięć wagonów.

Zanim go osobiście poznałem miałem sposobność zaobserwować go podczas pewnej zabawy w Domu Ludowym w Trzebiezowicach. Był już mocno podпиты. W pewnej chwili, gdy orkiestra umilkła, a tańczący rozeszli się pod ścianę, na środku sali pozostał sam Kawa. Prawą rękę, zaciśniętą w pięść, wznosił do góry i krzyczał zapamiętałe: — „Niech żyje Polska Ludowa!!! Niech żyje klasa robotnicza!!! Niech żyje!!!

Nie było końca jego okrzykom, powtarzał je w jakimś opętanym uniesieniu, zachłystywał się, dosłownie piał. Milicja w kłopotcie, bo to jakoś głupio: okrzyki swoją drogą, nie można mieć nic przeciwko nim, a zawiany gość do znów inna rzecz. Publiczność też była zażenowana, słyszałem głosy: „też się wygłupia, znów odgrywa patriotę”. Ludzie, gdzie on tam odgrywał. On musiał tak, on nie mógł inaczej, bo by go rozzerwało. To był entuzjazm prawdziwy, żywiłowy jak wulkan, gorący jak lava. Dajcie mu spokój, niech się wykrzyczy, niech wieczorem wiatuwa na cześć Polski Ludowej, w dzień napelni wagon marmurem i odeśle je w głąb kraju, ku Nowej Hucie, ku Warszawie.

Chłopi z okolicznych wsi, z Trzebiezowic, z Radochowa, z Kątów, ze Skrzynki, z Konradowa, ciągle jeszcze zwolili ziemniaki na stację. Ci, którzy mieli pierwszy standart, podjeżdżali ku nam i po zważeniu ziemniaków w obecności magazyniera Krzemienia sypali

Je do naszego wagonu. Jakoś w samo południe, kiedy każdy z nas spoglądał tęsknie w kierunku wsi, skąd lada chwila mogły nadejść nasze kobiety z posiłkami obiadowym — na rampę zjechały dwa wozy ze Skrzynki. Muszę powiedzieć, że teraz, po rocznym pobycie w Jasienicy Dolnej, kiedy los znów rzucił mnie w okolice Kłodzka, zawsze na widok ludzi ze Skrzynki (wyjąwszy kilkunastu takich jak bracia Zychonie lub nauczycielka Pawłowska) doznaję uczuć nader skomplikowanych, których nie będę tu analizował. Krótko, wezwolano: obok uczucia satysfakcji i jakiegoś niesobistego triumfu doznaję jakby wewnętrznego skurczu niechęci, odrady do tych ludzi — wolałbym się z nimi nie spotykać, nie widzieć. „Teraz jesteście do brzy, nawet serdeczni, ale w tych groźnych dniach i miesiącach, kiedy czułem się jak zwierzę osaczony psarnią, nie było was przy mnie”. Ale to są uczucia odruchowe, nietrawne. Bo oto, kiedy na rampę zjechał jeden z tych „neutralnych”, mój dawny sąsiad Maczuga, przywitaliśmy się przyjaźnie, niemal serdecznie. Drugim chłopem ze Skrzynki był Józef Wilk, sojusznik Gajusa, ten sam, który się tak nierofownie zaasekurował budując dom pod

dobrobyt drogą nieustannego, niestruconego użerania się z ludźmi o drobnią zgi, o kropki, o gramy, o kęsy, o grosze. Jeżeli komuś sprzedaje zboże, to zawsze niedożywa choćby 10 kdg. Jeżeli kupuje coś za 8,25 zł, nie dopłaci 5 gr. Polówek papierosa, którą ma ochotę wypalić teraz, zostawia na później w nadziei, że w tym czasie ktoś go poczęstuje całym. Robotników najmuje nie na cały dzień, lecz na dwa popołudnia, żeby im nie dać obiadu. Nieliczone są możliwości wyzysku w świecie drobin, molekuł, cząsteczek. Nieuczciwość jego ma charakter molekularny — nigdy nie zrobi świństwa na wielką skalę. Znany jest z tego w całej okolicy, ludzie zawsze mu ustępują, bo wiedzą, że on im nie ustąpi. Na wszelkie ich zarzuty, próby zawstydzenia go jest absolutnie niewrażliwy: „wy sobie gadajcie, co chcecie, a ja swoje zrobię”. I rzeczywiście zrobił: wybudował dom pod Żywcem, nie przewidział tylko, że władze nie pozwolą mu zrzec się gospodarstwa w Skrzynce. Jedną rzecz tylko może — jeśli nie usprawiedliwić, to wytłumaczyć jego postępowanie: nędza, krańcowa nędza, w jakiej żył przed wojną w swej górskiej wsi pod Żywcem, samoobronny lęk przed głodem i zimmem.

Zajęchawszy pod wagon popatrzył na mnie wilkiem, zauważyłem, że się zdziwił ujrzawszy mnie przy ładowaniu: „ki diabli, a ty skąd się wziąłeś przy tej „brudnej robocie”? — wyraźnie mnie zdegradował społecznie. Kolenda znając jego skąpstwo zartował: — Wilk, dasz na ćwiartkę, to ci te ziemniaki wysypiemy... Zbliżyłem się do wagi, bo coś mi mówiło, że nie obejdzie się tu bez drobnych — właśnie drobnych — nieporozumień. I rzeczywiście! Magazynier Krzemień stwierdzał przy każdym pięćdziesięciokilowym worku malenkie niedobory. Zawsze jęcząc pod stronę ciężarka opadał w dół. Rzecz jasna, nie warto było z tego powodu robić historii, Krzemień kiwał tylko głową niezadowolony i ostatecznie machał ręką, jak gdyby chciał powiedzieć: „a idź w pieruny, niech cię nie widzę”. Ale na tym nie koniec. W pewnej chwili Więcek, który wespół z Knułowiczem wysypywał Wilkowie ziemniaki, wychylił się z wagonu i zawołał: — Panie Krzemień, niechno pan popatrz! — i pokazał magazynierowi garść miękkich, jakby napuchniętych ziemniaków. — Zmarznęte!

Oczywiście, nie było ich dużo, w każdym worku po trochę, po 3-4 kg — w sumie zebrało by się z ćwierć kwintala. Tego już magazynier nie mógł puścić płazem kazał Wilkowi zabrać ziemniaki z powrotem i przywieźć zdrowe, niezmarznęte. Ale nie taka łatwa sprawa z Wilkiem, magazynier swoje, a on swoje: że tych parę zmarzniętych ziemniaków nie nie znaczy, że można je w oczekiwaniu odrzucić, że nie warto tracić czasu itd. itd. Zaczęła się nudna, jałowa utarczka słowna, magazynier nie ustępował, Wilk również. Tymczasem wokół nich zaczęła się skupiać gromadka ludzi. Najpierw przyszedł składowy Zygerkorn, który ekspedował dziś dwa wagony kopalniaka i słupów, potem zjawił się dwaj przeładunkowcy, którzy czekali na samochód z marmurem, wreszcie nadeszło kilku chłopów, którzy przywieźli papierówkę i, czekając z wyładowaniem na swoją kolejkę, pętali się po rampie. Przez dłuższą chwilę nie zabierali głosu w sporze między magazynierem a Wilkiem — można by pomyśleć, że całą tę sprawę traktują jako osobisty zatarg między dwoma ludźmi, pewnego rodzaju urozmienienie, widowanie. Gdy magazynier zniecierpliwiony odsuwał worki od wagi, by zrobić miejsce następnej furze, Wilk uderzył w pokorniejszy ton: — Dalibyscie spokój, Krzemień... Po co ja mam mordować konie pod taką górę — mówiąc to wskazał ręką na wijący się biały serpentyna gościniec z Trzebiezowic do Skrzynki.

A ja was nie rozumiem — odezwał się składowy Zygerkorn do Wilka — przecież chowacie świnię, toście mogli ziemniaki zebrać i te zmarznęte zużyć. — Ta on przebrał — wtoczył Knułowicz — bo widzi pan, że pierwszy standart, ale te zmarznęte umyślnie dopysał. — Ja nie nie dosypywał — igał Wilk — kobiety przebiebrały, to może niechęcią zamieniły parę zmarzniętych. Nagle z wagonu zeskoczył krepki, przysadzisty Więcek. Był wzburzony, gwałtowny w ruchach, tupał butami jakby w jakimś dziańskim, ale trochę niesamowitym tańcu. Chwycił pierwszy z kraju worek, szurnął go na bok i wysypał karłofie na ziemię. Obrócił raz i drugi, opróżnił dwa następne worki, wybrał garść zmarzniętych ziemniaków i podsunął je pod nos Wilkowi: — Masz tu, popatrz! To jest u ciebie parę ziemniaków! Toś ty niechęcią pomieniał! Tyś gorszy od tych świń, co się chowasz! Ziemniaki z Niemiec się sprzedawa, tam w Kłodzku ludzie czekają, a ty co im dajesz? Tyś gorszy od świńi, tyś nie wart tych ziemniaków na surowo żeżyć. Może ci się zdaje, że pole ino dla ciebie rodzi, że laskę robisz, jak sprzedasz ludziom trochę ziemniaków? To twój psi obowiązek, bo ludzie więcej na ciebie robia, niż ty dla ludzi!

Chyba nigdy jeszcze Więcek nie wypowiedział tylu słów na raz. Chłopi przytakiwali mu: „racja, racja, to się rozumie” — jeden z nich, niski, drobny, w kurcie sięgającej kolan, pyknął kilka razy fajeczką i zwrócił się do Wilka z reprimendą: — Przech ciebie, psi synu, wstyd by mi się najedli. Przecie tam w Kłodzku ludzie zaraz by powiedzieli: „o, drański ten naród w Trzebiezowicach, zgnie ziemniaki nam dają”. A to przez ciebie, psi synu, przez ciebie!

Pod miedzianym czołem Wilka za-kleikowała jakaś myśl, widocznie zaskoczyła go solidarność potępiających, a zwłaszcza chłopów, którzy według jego mniemania powinni trzymać stronę chłopca, a w każdym razie zachować stanowisko neutralne. Zdziwiony przyspatriwał im się chwilę przeskakując wzrokiem z twarzy na twarz i nie odpowiadając już ani słowa zabrał się do zbierania ziemniaków wyspanych przez Więcka. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Zygerkorna wolano do furmanek z papierówką, przeładunkowcy pospieszyli do swych kamieni. Z f-ki Przetworów Owocowych nadjechał samochód zapełniony skrzyniami z sokiem i marmoladą — racy na rampie, chwilowo jakby wstrzymanym, wszczął się na nowo, słychać było dudnienie toczących się kłoców, hurgot rzucanych kamieni, warkot motorów samochodowych, okrzyki woźniców.

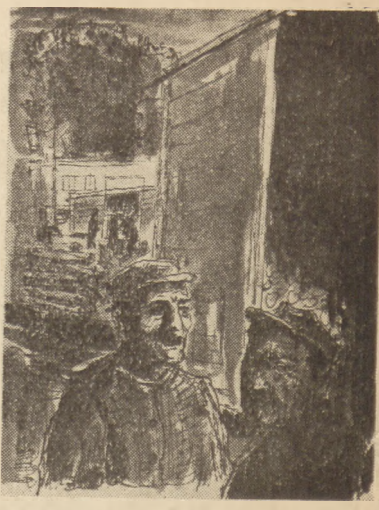
Wkrótce zjawił się wieczny zatrudniony Polacek i przyniósł nam ważną nowinę. Dotyczyła ona Więcka, a raczej jego żony, która będąc chora na zapalenie stawów otrzymała miejsce w sanatorium w Ciecho-cinku. Właśnie przed chwilą był w magazynie przez ZSCH Rutowicz i prosił, żeby Więcka o tym powiadomił i żeby Więckowa przygotowała się do wyjazdu. Więckowa będzie już dwudziestą pierwszą z kolei osobą z Trzebiezowic, która w tym roku korzysta z leczenia sanatoryjnego na koszt ZSCH. Na ten temat dużo się mówi we wsi, słychać słowa uznania dla ZSCH, dla prezesa Rutowicza i dla lekarzy sanatoryjnych.

O wpół do trzeciej skończyliśmy ładować i przetoczyliśmy wóz na wagę. Po odliczeniu tary okazało się, że do 17 ton brakuje 30 kg, więc dosypaliśmy pół kosza ziemniaków, zasunęli i zaryglowali drzwi. Następnym z kolei szedł wagon z burakami cukrowymi, a dalej robotnicze z f-ki Przetworów Owocowych pchały dwa wagony z sokiem i marmoladą. Platformy z kopalniakiem i słupami teletechnicznymi jeszcze nie były gotowe. Składowy Zygerkorn krzątał się koło nich, pomagał robotnikom, naglił do pośpiechu. Na samym końcu bocznicy przeładunkowcy dopełniali marmurem piątą już i ostatnią piętnastotonną — brygadysta Kawa krzyczał do Zygerkorna, żeby się spieszył z ładowaniem drzewa i pchał platformy ku wadze — dochodziła już trzecia, za dwadzieścia minut nadłeci pociąg od strony Łądka-Zdroju.

Słońce czerwone i jakby zasnużę dymem wisiło nisko nad horyzontem gór, północne stoki tonęły już w cieniu, a południowe należące do leśnictwa Skrzynka, jarzyły się wszystkimi barwami jesieni. Jakże łatwo mogłem teraz rozpoznać każdą rozpadlinę, każdy zakątek leśny, gdzie parę tygodni temu zbierałem ostatnie w tym roku grzyby i strząsałem orzechy łaskowe. Jakże bujne są, jak bogate lasy ziemi kłodzkiej. Nie wiem, może to pod wpływem ich uroku, wszyscy ludzie jacy się w tej chwili znajdują na rampie, wydają mi się niezwykle wartościowi, zespoleni jakoś serdecznie, dobrzy jedni dla drugich. Nawet składowy Zygerkorn i brygadysta Kawa, którzy tak często drą z sobą koty o dostęp do wagi, spoglądają na siebie z uśmiechem, kiwają głowami. Kierownik Polacek stoi przy nas i czeka na ten moment, gdy jeden wagon z ziemniakami zostanie doczepiony do pociągu i ruszy w stronę Kłodzka. Grupa robotnic z f-ki Przetworów owocowych pilnuje swego wagonu, inna grupa stoi przy platformach z drzewem — wszyscy czekają, czekają — widać, że to dla nich chwila uroczysta.

Wreszcie przed stacją zajeżdża ciężarowy pociąg, parowóz cofa się na bocznicy, zabiera połączone już wagony i przetacza je na tor główny, a ludzie ciągle jeszcze stoją na rampie. „Widzicie — zdają się mówić — taka mała stacja to Trzebiezowice, a ile to produktów idzie stąd na całą Polskę. I to wszystko im ładujemy. Jesteśmy ważni, jesteśmy oczywiście potrzebni, nie jemy chleba darmo”. Nikt tego oczywiście nie mówi, ale wszyscy tak czują, bo po cóż by tak długo stali na rampie i czekali aż pociąg ruszy, aż zniknie za pierwszym zakrętem toru? Wiem na pewno, że czują się ogromnie zadowoleni z wykonanej pracy i dumni, że ten oto pociąg włącza ich jak gdyby w gigantyczną przbudowę kraju. A najważniejszą, że pod wpływem tych uczuć sami się przbudowują wewnętrznie, sami tworzą nowy, wartościowy typ człowieka w Polsce.

W Trzebiezowicach widać Nową Polskę



Magazynier Krzemień i Wilk ze Skrzynki



Brygadysta Kawa

Żywcem. Jest to człowiek godny podziwu i zarazem pogardy. Jest on uosobieniem wszelkiej skrotności, syco-stwa, chytrności i przemysłowości, ale tylko w sprawach niezmiernie drobnych. Jeżeli się o pewnych ludziach mówi, że mają szeroki gest, otwarte serce i głowę, to Józef Wilk jest ich krańcowym przeciwieństwem, wszelkie jego zainteresowania i dążenia są typu mikrokosmicznego. Jest zdumiewająco konsekwentny, można by pomyśleć, że w pewnym okresie życia, gdzieś w młodości, poprzyściął sobie, że osiągnie

JENO HAMBURGER

Z poezji węgierskiej

BALLADA O LATINCE

Na skraju lasu koło drogi
Leży dwaściana małych mogił.
Tutaj czerwoni legną w grobie.
Tu bawiają się oficerowie.

„Janoszu Salma, wyjdź z szeregu,
Ty, Farkasz, wystąp obok niego,
— te słowa rzecze baron Pronay —
Mogę już jechać do Marcali
Na powieść u księdza Szymona“.

Świt krwawy, wiatr się podniósł w lasku...
Razem umiera ich dwunastu.
Nawet się żaden jęk nie rozległ,
Tylko nad nimi klanie krzyczą
I klną oficerowie podle.

Czas na Latince w końcu nadszedł,
Orkiestra kończy grać swe marsze.
Nie ma litości. Grób pogrzebie:
On sam wykopał go dla siebie.

„Ależ się zakrzwawiła trzcina...
Ej, komisarzu, już nie gramyś,
Wszak kochasz życie, nie chcesz konać,
Gotowem ci darować winy,
Gdy jako biały przejdziesz do nas!”

„Krwawią się wargi na mej twarzy,
Niech widzi każdy mój towarzyszu,
Fornal i pastuch i karbowy,
Że prawy człowiek nie zna zdrady
I raczej umrzeć jest gotowy .

Jedną mam śmierć i jedno życie.
Jeszcze wy sztandar zobaczycie,
W Kapos zaświeci wam czerwony!
Więć strzelaj celnie, prosto w serce,
Nierobie podły, Pronay!”

On jak topola stoi obok.
A lud okrywa się żalobą
Po cym Latince, po Szandorze,
Po wodzu dzielnym, niby orzeł.

Wracają zmarli przy miesiącu:
Somogy zmartwychwstanie w końcu.
Na uczcie będziemy pić na zdrowie!
Ale tymczasem, ty psie, Horthy,
Psie biały, możesz szczekać sobie!

Niechaj Bóg ma was w swej opiece
Węgry, co we krwi się kapiacie!
Każdego roku, przez dzień jeden,
Gdy się ukryję w innej ziemi,
Nad waszą będą płakał bieda
Łzami gorzkimi.

tłum. Jerzy Ficowski

Walczyć i zwyciężać uczyliśmy się w szeregach Partii

MARIA BOK

WALKA NIE KONCZY SIĘ ZE ZWYCIĘSTWEM*)

PRÓZNIAK MICHAŁ

ODKĄD ZROZUMIAŁEM...

O północ wysiadam z kolejki wąskotorowej na stacji w Płońsku. Noc sierpniowa ciepła, ale ciemna, bo pochmurno. Lampa naftowa blizszy na słupie. Kilkanaście osób wysiadło, ja pierwszy raz jestem w mieście, nie wiem jak iść. Pytam się kobiety, która mnie miją, jak dojść do rynku?

— Niech pani idzie razem ze wszystkimi, ta droga doprowadzi do rynku.

— Pilnuj się tej kobiety, idę z nią razem, bo droga polna. Osoba starsza, okryta chustką. Pytam jak daleko.

— Kilometr do miasta, a później ulicą do rynku. A co pani pierwszy raz, do kogo?

— Tak, do męża przyjechałam. Nie wie pani, gdzie jest Związek Służby Folwarcznej?



Rys. St. Gierowski

— Nie słyszałam, ale w rynku zaraz, do kogo?

— Doszliśmy do miasta, kobieta mówi: — Ja pójdę w tę stronę, a pani tędy prosto dojdzie do rynku.

— Duży plac wokół obudowany, stanęłam na rogu nie wiem gdzie się ruszyć, mijają mnie chłopiec ograbiany, bosy; zaczepiam i pytam się: — Synu nie wiesz, gdzie ulica Prosta?

— Ja tam idę, a pod który numer? — Pod dwunasty.

— Ja bliżej, pani dalej pójdzie. — A wiesz gdzie jest związek służby folwarcznej?

— Wiem, w tym samym domu na dole, gdzie okiennice zamknięte.

— Wałę w drzwi mocno, po chwili słyszę głos, poznaję, wołam: — Józku, otwórz.

Otwierają się drzwi i mówią zdziwiony. — Coś przyjechała? — bierze mnie w objęcia — jednak zdecydowałaś się?

— Mąż mój w Płońsku pracuje, jest instruktorem Związku Służby Folwarcznej i organizował Robotniczą Spółdzielnię Spożywczą. Ja pomagałam przy spółdzielni i prowadziłam biurową robotę w Związku.

Późno wieczorem ktoś bębnił we drzwi, mąż otwiera drzwi i wybuch radości. — To wy towarzysze? Wchodzi Włodzimierz Dąbrowski. Wysoki, szczupły, brunet, serdecznie z nami się wita, wypytuje się szczegółowo o wszystko, jak robota idzie. Kiedyśmy mu wszystko opowiedzieli, wysłuchał nas bardzo spokojnie. Udzielił mi ważnych wskazówek do prowadzenia ksiąg towarowych spółdzielni.

— Teraz ja wam powiem swoje. Przyjechałam zabrać stąd towarzysza Boka na powiat garwoliński, a wy, Mario, na razie zostaniecie sama. Tu przyjeżdżacie to inny prowadzić Związek. Może macie tu kogoś takiego, co by mógł prowadzić Związek, bo dwa powiaty nie są jeszcze obsadzone.

— Mąż mój: — Porozmawiam tu z jednym, jeśli się zgodzi, on mógłby, bo prowadził tu przed nami ten Związek. Był aresztowany i trzech innych. W tych dniach został zwolniony za kaucją, siedzi w domu jeszcze nie wie robi.

W dwa dni po wyjeździe męża, przyjechał towarzysze z Lewandowskim, mężczyzna średniego wzrostu szczupły, ciemny blondyn, w obojętnej bardzo mi, zajął się całkowicie Związkiem, było mi źle. W połowie września był krajowy zjazd delegatów Związku Służby Folwarcznej. Tow. Lewandowski mówi.

— Mario, wy pojedziecie na zjazd do Warszawy i jednocześnie załatwiecie sprawy spółdzielce.

Obrazy zjazdu trwały dwa dni, znajomi towarzysze śmieli się z nas, że małżeństwo reprezentuje dwa powiaty, mąż — Garwolin, żona — Płońsk. Obrazy toczyły się głównie na temat zbiorowej umowy Związku Służby Folwarcznej, której dziedzićce nie chcieli podpisać. Były bardzo ostre dyskusje. Jednocześnie uchwalono strajk w całej Polsce, oraz uchwałę, że jeśli w ciągu trzech dni Związek Ziemiański nie podpisze umowy, to Centrala Związku Zawodowych dla poparcia Związku Służby Folwarcznej ogłosi strajk generalny. Nie wyznaczono daty, dopiero po pertraktacjach Zarząd Główny miał zawiadomić oddziały.

Omówiono dokładnie, jak przyzywać komitety strajkowe, żeby były zorganizowane, gdy przyjdzie zawiądzanie do strajku, i jak przystępować do niego na wyznaczony dzień.

Powróciłam do Płońska, sekretarzowi Lewandowskiemu powtórzy-

łam, co było uchwalone i co mamy do zrobienia. Zaraz na niedzielę zwołaliśmy wszystkich delegatów folwarcznych z całego powiatu. Delegaci stawili się prawie wszyscy, dwie izby były napchane ludźmi. Towarzysz Lewandowski mówił do mnie.

— Musicie wy, Mario, zdać sprawozdanie ze zjazdu krajowego, bo wiecie, co było uchwalone.

N.gdy w swym życiu nie mówiłam do takiej masy ludzi. Lewandowski nie ustępuje, dodając:

— Jak tylko przewodniczący skończy zagajenie, wy, Mario, zdajecie sprawozdanie.

Stanęłam i patrzę. Wszystkie oczy na mnie zwrócone, nie silim się mówić przedmów ani frazesów tylko prosto, po co ten zjazd był zwołany i co uchwalono; będziemy chyba strajkować! Delegaci wszyscy krzyczą: strajkujemy! Mówię, że przewodniczący Zarządu Głównego Kwapiński powiedział, że jeśli Związek Ziemiański nie podpisze naszych żądań, to nawet poprą nas robotnicy generalnym strajkiem, staną koleje, fabryki. Mówiłam to w wielkim zapale i wiarą, że Kwapiński co obiecował to dotrzyma. Mój zapał udzielił się wszystkim obecny, zaczęto wołać: strajkujemy do zwycięstwa! Na zakończenie zebrania mówię, aby z każdego folwarku jeden delegat został, a reszta wyszła.

Wybraliśmy podwójne komitety, jeden będzie działał, a drugi lotny na wypadek w razie aresztowania.

W ciągu kilku dni było wszystko zorganizowane, w większości delegaci szli od majątku do majątku i sami się organizowali i ze Związkiem mieli łączność. Czekaliśmy tylko wezwania.

Przed moim wyjazdem do Warszawy zrobiliśmy w trójkę naradę: ja, sekretarz i przewodniczący, co i jak mamy robić. Komitety strajkowe były trzyosobowe, należałam do powiatowego komitetu strajkowego. Zdecydowaliśmy, że pieniądze spółdzielce wszystkie zabiorę do Warszawy i kupię co będzie można w Centrali Społawczej przy ul. Woloskiej 44, w Związku się zaś dowiem, co robić. Wracam piątego października wieczorem. W Nasielsku, na koleje dojazdowej stoję w ogonku do kasy za biletem. Podchodzi do mnie syn przewodniczącego, odwzajemnia mi na bok i mówi:

— Ojciec i sekretarz Lewandowski dziś aresztowani. Kilku delegatów na powiecie też, i was policja szukała, Związek opieczętowany, nie macie po co do Płońska jechać, wracajcie do Warszawy i niech kto inny przyjedzie. We wszystkich folwarkach służba strajkuje i co robicie dalej? Jak kto przyjedzie, to do Szewczykowej, ona prawie za miastem mieszka, to najlepiej. Jej mąż pojechał do Warszawy na robotę związkową, ona jest sama.

Siedzę w wagonie i myślę, co mam zrobić, wobec tego co zaszło. W Płońsku być nie mogę i nie wiem, co z moim mężem się dzieje, nie przyjechałam na umówiony czas. Do Warszawy wróciam o północy, rano poszłam do Związku na Świętokrzyską, zamkniętą. Nie namyślając się wiele, wsiałam w tramwaj i pojechałam na Wolską do Związku Spółdzielczego, poszłam na 4 p. do propagandy, tam mnie skierowano na Wolską 52. Zastalam tow. Dąbrowskiego, przedstawiłam cały stan rzeczy, jaki jest w Płońsku i proszę, żeby dali kogo, bo ja sama tam nie pojedę i nie wiem co robić. Przydzielono mi starszego towarzysza, 60 lat, siwiutki, mówiono na niego: Dziadek.

Tego samego dnia wieczorem wróciłam z tow. Dziadkiem do Płońska. Następnego dnia, to była niedziela — czwarty dzień strajku. Było już koło czterdziętej rano, tow. Dziadek mówił do mnie:

— Ja tu będę siedział, a wy wyjdziecie, jak spotkanie jakich delegatów, to przyslijcie.

Okryłam się w dużą chustkę Szewczykowej, nie dosłam jeszcze do rynku spotkałam dwóch delegatów i powiedziałam im, żeby powiadomili innych o miejscu spotkania, ale aby przychodzili nie gremialnie, lecz po dwóch, trzech pod wskazany adres, to się dowiedzą, co robić dalej. Wróciłam do domu. Za kilkanaście minut zaczęli przychodzić delegaci po dwóch, trzech, nie więcej. Jedni wychodzili, za kilka minut drudzy przyszl. Tow. Dziadek tłumaczył: strajk trwa do zwycięstwa! Przed samym wieczorem wzięli listonosza i pyta się, czy jest Maria Podkowińska? Byłam meldowana na podstawie dowodu panienskigo. Szewczykowa patrzy się na mnie, nie wie mowi. Podchodzę do listonosza i mówię:

— Co pan od niej chce?

— Listonosz mnie znał. Odpowiada: — Mam dla pani list, już go dwa dni noszę a pani nie mogłam spotkać.

— Skąd pan wie, że ja tu?

— Widziałem panią z daleka na rynku, byłem w mieszkaniu, odpowiedziała mi Plewkowa, że od tygodnia panią na oczy nie widziałam. Chciałem pani ten list doręczyć, domyśliłem się, że może tu i trafiłem.

Na odchodnym powiedział mi: — Niech pani tu nie siedzi.

Gdy wyszedł przeczytałam list od męża. Pisał mi, że nie przyjechał do Warszawy, bo nie miał czasu, robi przygotowania do strajku. Myślałam długo na ostatnim słowie, które powiedział listonosz, abym tu nie siedziała. Widocznie wie, że mnie policja szuka, jeśli ostrzeże, to może

nie oskarży. Dziadek chciał wieczorem odjechać, ale nie było pociągu, bo kolejka tylko dwa razy na dzień jeździła. Przenocowaliśmy, raniutko o piątej po ciemku przez pole na stację i odjechalismy.

Wróciłam do Warszawy. Czekając na tramwaj kupiłam „Robotnika”. Na pierwszej stronie grubymi czcionkami pisze, aby cała służba folwarczna przystąpiła do pracy z dniem 9 października. Podpisany: Kwapiński.

Gdy przeczytałam, to pomyślałam, że mnie krew zaleje ze złości za taką haniebną zdradę. Nie tylko, że Związek Ziemiański żadnych żądań nie podpisał, ale jeszcze tyle setek ludzi aresztowanych.

Do Płońska nie powróciłam, mimo, że dwa miesiące tam mieszkałam, trochę poscieli i drobiazgów kuchennych miałam, to wszystko przepadło.

Ja posiadałam w Warszawie do Wszystkich Świętych i czekałam na męża, albo jakiejś wiadomości i tak z dnia na dzień czas upływał, nie miałam pieniędzy nawet na życie, zimno się zrobiło, nie miałam żadnego opału, a spodziewałam się porodu. I tak myślę, co ze mną będzie; póki zdrowa, to chodzę, pójdę do ciotki lub do koleżanki, to choć raz na dzień gdzieś coś zjem, a jak zachoruję, kto co zrobi koło mnie i dziecka, a co będę jeść, czym palić? Czarna rozpacz mnie ogarniała, niby mam męża, a jestem sama. Byłam u koleżanki, biedna dziewczyna, sierota, służyła za pomocnicę domową, gdy do niej poszłam, zawsze obiad dostawałam. Ostatnio byłam u niej, bardzo się źle czułam, opowiada mi jej swoją niedolę. Ona mówi:

— Jedź do matki.

— Pojechałabym, ale czekam na męża, żeby mnie dał trochę pieniędzy, nawet na kolej nie mam.

— To ty się nie doczekasz i do szpitala pojedziesz chorować. Ty nie czekaj, dam ci na kolej i jedź do matki.

W pierwszy dzień Wszystkich Świętych spadł duży śnieg, ja czując się coraz gorzej mimo niepogody, wieczorem odjechałam do Skierki.

Od stacji do domu nie ma więcej, niż pół kilometra. Myślałam, że nie przejdę, taki straszny śnieg, miejscami do pasa, ledwie się dobiłam, nogi mi strasznie zmarzły, mama ogień rozpalila, wody nagrzała, nogi wyczołamy i poszłam spać, ale jednak nie usnęłam, bo dostawałam strasznych bólów.

Mama o ojca mówi:

— Ubierz się prędko, sprowadź babkę.

Ojciec zaczął mruczeć.

— Małom to się wychodził dla ciebie, teraz córka mnie gania.

— Widział jak jest, ja muszę ogień rozpalic i koło niej być.

Gdy mocniej zaczęłam piszczeć, ojciec przedtutku na przybós buty wciągnął, kożuchem się okrył i wyszedł. Całą noc z przerwy miałam bóle, rano urodziłam córkę.

PO WOJNIE

Jestem na inspekcji w powiecie Końskim. Rozmawiam z instruktorką Franaszczykową. Kobieta prosta ze wsi, ma hektar ziemi i chałupkę, mąż jej pracuje w fabryce metalurgicznej w Końskim, co dzień dojeżdżają obce koleją do pracy. Kobieta ma już ze czterdzięci lat, ale w pełni sił, bardzo energiczna i umie organizować, co na wsi jest trudno, a do niej kobiety mają zaufanie, o czym niejednokrotnie się przekonałam.

Mówię do Franaszczykowej:

— Pojedziemy na gmunę.

— Jeśli chcecie pojechać, to dobrze. Zamówiłam na jutro gmunę Gawarczów, tam byśmy zorganizowały Radę Kobiecą. Ta dla mnie była przykładem.

Mówię — dobrze, a jaki dojazd?

— Po obiedzie, o trzeciej, mamy samochód, to nim pojedziemy.

Samochód przystaje: wieś Gawarczów. Wysiadam. Idziemy prosto do Urzędu Gminnego. Śnieg pada już drugi dzień bez przerwy i coraz większy, przy tym silny wiatr i mróz, zamieć śnieżna, śnieg zawiewa, miejscami robią się zaspasy.

Maria Bok

TRUDNA I PIĘKNA DROGA TWÓRCZA

(Dokończenie ze str. 2)

Prawdziwie wolna sztuka to sztuka w służbie komunizmu — oto teza książki. Cele komunistów bowiem „idą nogą w nogę z historycznymi interesami Rosji”. Tragizm artysty nie polega na tym, iż artysta w dół i odczuwa więcej, niż świadomie tworzący historię rewolucjonista. Nie istnieje odrębny świat sztuki, sztuka powstaje w świecie ludzkim i dla ludzi.

Aktor Cwiethuchin sądził mylnie, iż celem życia artysty jest odróżnić się od innych. Swoje sukcesy jednak zawdzięczał tylko temu, iż w praktyce scenicznej stosował się do innej, przeciwniej zasady, której sobie nie uświadamiał. Sformułował ją zań Izwiukow: „Artysta powinien umieć wyrazić wszystkich innych ludzi, być nimi. W przeciecinym razie nie zostanie zrozumiany”. Zostanie skazany na samotność tak jak pisarz Pastuchow, nie chcący określić swojej pozycji ideologicznej, usiłujący uchylić się od dokonania wyboru. Jednakże i pięknoduch Pastuchow znajduje swą drogę do rewolucji. Pro-

blem drogi do rewolucji starej inteligencji rosyjskiej rozwiązany został w powieści optymistycznej.

Fiedin w całej swej powieści wypowiada marksistowski pogląd na historię, przeciwny historyozofii Lwa Tołstoj, pojmującej działalność jednostki w historii jako bierne poddanie się prawom historycznym. Polemika z „Wojną i pokojem” kryje się też, jak słusznie zauważył H. Bereza (N. K. Nr 44), w rozdziałach książki poświęconych roli strategii stalnowskiej w rozgromieniu armii Denikina.

Dylogia Fiedina to jakby bilans całej jego dotychczasowej trudnej i pięknej drogi twórczej — podsumowanie i rozważanie zajmujących pilarsza problemów, będące jednocześnie wysokim osiągnięciem realizmu socjalistycznego. Trzeba wyrazić radość, iż nareszcie całość dylogii (po trzyletnim odstępie czasu od ukazania się pierwszego tomu) udośćpioną została polskiemu czytelnikowi.

Andrzej Walicki

Wchodzimy do gminy. Wójt mówi: — Ze wam się chciało na taką pogodę przyjechać.

Otrzepuje śnieg z koltnera i głowy, smiejąc się odpowiada.

— Czy to pierwszy raz? Mam się go bać, niech sobie pada, jak chce. — Jeśli tak popada przez całą noc, to jutro z chałup nie wyjdziemy — mówią wójt.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

— Nie straszcie nas wójt, my się i tak nie boimy.

Urodziłem się 15.V.1909 r. w mieście Kolbiel powiat Mińsk Mazowiecki, z rodziców bardzo biednych. Ojciec mój był nauczycielem w chederze. W r. 1918 podczas pożaru miasteczka Kolbiel, rodzice moi zostali spaleni, zostałem sam z siostrą, która była członkiem Partii SDKP i L. U siostry byłem do r. 1920. Podczas wojny 1920 roku kiedy Czerwona Armia wkroczyła do miasteczka, siostra moja została sekretarzem gminnym a ja byłem u jednego dowódcy tej jednostki, która była w miasteczku. W tym czasie wykryłem kilka magazynów spożywczych i odzieżowych, które kupcy żydowscy ukryli. Te wszystkie ukryte towary zostały rozprzekane mieszkańcom miasteczka. Po kilku dniach, kiedy Czerwona Armia odstąpiła, siostra moja została aresztowana a po trzech dniach została powieszona. Zostałem sam. Bogacie ze społeczeństwa żydowskiego mnie zniemawdzili. Nie miałem żadnej możliwości do życia. Wyjechałem do Warszawy i w Warszawie nie miałem żadnych znajomych i krewnych, bo krewni moi nie chcieli w ogóle o mnie słyszeć. Powiedziałem, że szkoda, że żyję na tym świecie, bo przynoszę im tylko wstyd i dlatego zmuszony byłem spać pod mostem, w głębokich bramach, a wyżywienie moje było takie, kto mi coś z łaski dał. Tak żyłem do 24 roku. W r. 1924 udało mi się zdobyć pracę w piekarni zamiast iść do szkoły a musiałem już ciężko pracować. Pracowałem po 16 — 18 godz. na dobę, z tego powodu nie mogłem w ogóle myśleć o jakiegokolwiek nauce. Wtenczas już rozumiałem, jak wielka krzywda mi się dzieje i zacząłem szukać drogi, w jaki sposób wywalczyć sobie lepsze warunki życia. W tym czasie udało mi się nawiązać kontakt z komunistyczną organizacją młodzieży pod nazwą ZMK. W r. 1924 w końcu lipca kiedy grupa młodzieży rozlepiła na murach afisze antyrządowe, wówczas jeden z agentów policji politycznej zatrzymał jednego z tejże grupy młodzieźowej, to ja doskoczyłem do jednego z młodzieńców, który trzymał wiadro z klejem, wyrwałem wiadro i błyskawicznie wsadziłem na głowę agentowi, przewracając go w tym momencie. Udało mi się uratować tego młodzieńca, który był już zatrzymany. Młodzieńcem ten zbliżył i ja również za nim, reszta grupy młodzieźowej z tej organizacji zbiegła za nami. Po kilku minutach, kiedy niebezpieczeństwo minęło, zatrzymałem się i w tym momencie zbliżył się do mnie dwóch nieznanych młodzieńców, podali mi rękę i podjękowali mi za ten czyn, pytając się kim jestem i dlaczego tak zaryzykowałem. Ja ze swojej strony wytłumaczyłem kim jestem i dlaczego tak postąpiłem. Wówczas jeden z tych dwóch zadał mi pytanie, czy zechciałbym wstąpić do Zw. Zaw. Społawców oddział piekarzy, który walczy o lepsze warunki pracy i płacy, na to wyraziłem zgodę i rozeszliśmy się. Na drugi dzień po pracy, kiedy przyjeżdżałem do Związku, na mnie już czekano, zawezwano mnie do osobnego pokoju i wypisano mi deklarację. Podczas podpisu zawstydziliem się i z bólem w sercu podpisałem się krzyżkami. Osobnik ten, który wypełniał deklarację wytłumaczył mi, że takich samotnych, jak ja i nawet starsi, którzy mają dzieci jest więcej i nie ma się czego wstydzic, bo ja nie ponoszę winy a winę ponosi ustrój kapitalistyczny. Następnie wytłumaczył mi, że Związek jest masową legalną organizacją, natomiast organizacja młodzieźowa, do której deklaracji się nie wypisuje, nie ma nic wspólnego ze Związkiem i jest nielegalna i dlatego konieczne jest utrzymanie tajemnicy i trzeba być dyscyplinowanym. Jeśli cośkolwiek się dowiedzą, że nie dotrzymam tajemnicy, grozi mi niebezpieczeństwo a nawet śmierć.



Rys. St. Gierowski

grupki trockistów, którzy się ubrali bez protestu w ubrania więzienne. W tym samym dniu przed apelem, administracja więzienia widząc nasz zdecydowany opór, zwróciła nam nasze ubrania. Trockiści widząc to, poszli do naczelnika z prośbą, aby im też zwrócić ubrania, na to naczelnik nie zgodził się i wyśmiał ich. Nawet niektórzy klucznicy powiedzieli, że to nie są ludzie i nieczłecydowani i nie zasługują, aby ich traktować jako więźniów politycznych. Podczas procesu czelowi towarzysze dostali po osiem lat, inni towarzysze od 2 — 5 lat, a ja wraz z kilkoma towarzyszami zostaliśmy zwolnieni z braku dowodów. Od tego czasu do 1939 r. byłem bezrobotny i żyłem w okropnych warunkach. W r. 1939 podczas wojny z Niemcami wstąpiłem razem z wszystkimi więźniami politycznymi do Robotczego Batalionu Obronców Warszawy. Po kapitulacji, w dniu 18 listopada udało się nam w ubraniach niemieckich wyjść z Warszawy w kierunku Związku Radzieckiego. Kiedy przekroczyliśmy granicę Związku Radzieckiego, to przyjęto nas z entuzjazmem i wysłano nas na 4-tygodniowy odpoczynek. Po odpoczynku skierowano nas do pracy, pracowałem w mieście Orszy, województwo witebskie. W roku 1941, kiedy wybuchła wojna z Niemcami, wstąpiłem do Robotniczego Batalionu tak zwanego Trudowego Armia, która pomagała frontowi. W r. 1944 zostaje skierowany do nowo powstałej Armii Polskiej do III Warszawskiej Brygady Artylerii Haubic, w której przechodzę szlak bojowy od Bugu do Berlina. Za to zostałem odznaczony orderami i medalami.

Po skończonej wojnie zostaje zde mobilizowany i osiedlam się w Toruniu W r. 1946 wstępuję do PPR, otrzymuję pracę w PCH jako robotnik.

Podczas referendum i wyborów do Sejmu Ustawodawczego, bore udział jako aktywny członek Partii. W roku 1949 zapisuję się na kurs początkowego nauczania, kończę kurs z wynikiem dobrym. Podczas wyborów do Władz Partyjnych zostaje wybrany członkiem egzekutywy KM PZPR, jak również powołano mnie jako radnego miasta. W r. 1951 dostaje awans społeczny jako kontroler piekarni przy TSS w Toruniu.

Próznik Michał

*) Fragment pracy nadesłanej na Konkurs Wpamięniań Robotniczych, zorganizowany przez Polskie Radio i Państwowy Instytut Wydawniczy. Autorką jest żona Józefa Boka, którego wspomnienia pt. „Na Uralu” opublikował PIW.

ANTONINA BARTOSZEWICZ

DYSKUTUJEMY „SYNA RYBAKA”



Fot. — Film Polski

NO, jakże, podobała się? — zadawał pytanie jednemu z mieszkanców mojej wsi, odnoszącemu pożyczoną książkę. Była to powieść pisarza łotewskiego Willisa Łacisa „Syn rybaka”,*) do czego problematyki założenia walczącej z wyzyskiem hurtowników spółdzielni rybackiej w latach 30-tych.

— No, jeszcze i jak! Aj, co to za książka, ajajaj! Nam by tu do naszego spółdzielni paru takich Oskarów! Zaraz wszystko by było inaczej.

Jedna z dziewcząt odnośła mi książkę już po paru dniach (na wsi czytają długo). Na moje zdziwienie spojrzenie odpowiedziało: — „Bardzo szybko się to czyta. Raz już myślę sobie: jeszcze do końca tego rozdziału i już pójść spać. Doczytałam do końca, a tu ciekawość dręczy, — co dalej, uda się Oskarowi z tym wycieczkiem, czy się nie uda — i czytam dalej. I tak cała książka. Aż szkoda było, że to już koniec”.

Podobnych wypowiedzi było dużo. Wielu moim sąsiadom podobało się w „Synu rybaka” szczególnie to, że „dobrzy” z Oskarem na czele okazali się górą, a „zli” zostali zwyciężeni.

Te głosy mieszkańców mojej wsi nieświadomie dotykają najważniejszych, tak pozytywnych jak i negatywnych stron „Syna rybaka”.

A więc przede wszystkim sprawa głównego bohatera powieści Łacisa, Oskara Klawy. Autor uczynił go postacią głęboko ludzką, naprawdę wielką, a przy tym bardzo mocno

powiązaną ze środowiskiem. Właśnie dlatego mój rozmowca tak wielebnie obcywał po obecności paru takich Oskarów w swojej spółdzielni produkcyjnej, a co najważniejsze — wierzył w możliwość istnienia takiego człowieka jak Oskar, była to dlań postać żywa. Oskar nie jest bohaterem w typie „tragicznych samotniczych społeczników”) Zermorskiego, ma on poważne oparcie w swoim środowisku, wiąże go z nim mocne nici i to niewątpliwie wpływa na „uczłowieczenie” Oskara, co nie zawsze — jak wiadomo — udaje się przy kreśleniu „pozytywnych bohaterów”. Oskar już nawet przy realizacji pierwszego nowatorskiego pomysłu zbudowania wycieczki morskiej nie jest osamotniony, choć ta cała impreza jest bardzo ryzykowna, a już dalsze jego pomysły, nie wyłączając inicjatywy założenia spółdzielni rybackiej, przyjmują się bez większych trudności wśród rybaków osiedla i okolicy. Jest wprawdzie moment, kiedy Oskar traci swoją więź ze środowiskiem; spowodowane to zostało intrygami wyzyskiwacza Garuzy i szantażysty politycznego Piterysa, ale tym większy będzie triumf Oskara, gdy rybakowie doświadczają na własnej skórze skutków łatwowierności zaufania do dwóch oszustów. Wtedy rozumieją, że tylko Oskar potrafi uczciwie poprowadzić spółdzielnię. Tu dotykamy kwestii występującej w wielu wypowiedziach ludzi z mojej wsi, którym dawałam tę książkę do czytania: „dobrzy” z Oskarem na czele triumfują w powieści, „zli” jak Piterys, Robert Kława, Alfred Mendaj, Teodor Kurzeme, Bańka zostali ukarani. Licznym moim rozmówcom to właśnie najlepiej się podobało, co dowodzi, że ujął ich wynikający z powieści optymizm. Nie można jednak zamykać oczu na fakt, że ów optymizm stanowi także pewien brak książki, który skrzywił jej linię ideologiczną w najważniejszej sprawie, w sprawie spółdzielni. Całe zagadnienie prosperowania spółdzielni sprowadza się bowiem w powieści Łacisa do tego, aby rybakowie zrozumieli, że Garuza to ich wróg, aby sprawy swojej spółdzielni powierzyli z całym zaufaniem Oskarowi. Skoro Oskar zajmie się nią, wszystko pójdzie jak z płatka. W ten sposób wygląda na to, że powstanie i upadek spółdzielni zależą wyłącznie od Oskara Klawy**), choć w całym swoim przebiegu sprawa wygląda zgoła inaczej. Kława jest inicjatorem założenia spółdzielni, to prawda, ale ta inicjatywa pada na podatny grunt, przygotowany przez wiele czynników. Pewnie, że nie bez wpływu pozostaje fakt, iż Oskara rybakowie chętnie słuchają, że zdobył on sobie autorytet przez skuteczne zastosowanie w rodzinnej zatoce nowego porządku, zwiększającego rydatność pracy, przy równoczesnym zmniejszeniu jej nakładu, ale przecież odnosi skutek również agitacja Bangeri, a już szczególnie ważnym momentem jest to, że spółdzielnia stała się potrzebą życiową rybaków w Czeszu, jako forma samoobrony przed wstępującym wyzyskiem z strony hurtownika Garuzy, jest to

w powieści aż nadto widoczne. Upadek spółdzielni to nie wynik „niżu psychicznego” Oskara Klawy, ale skutek perfidnych kręćtaków systemu kapitalistycznego, ucieleśnionych w Piterysie i Garuzie, który planowo ten upadek przygotował. Wobec wszechwładnego Garuzy, który zdolał uzależnić od siebie ekonomicznie całą niemal okolicę, ba nawet samego Klawę, bardzo długo opierającego się jego machinacjom, Oskar jest bezsilny i to jest słusznie postawione w powieści. W systemie kapitalistycznym zwycięża ten, kto ma środki ekonomiczne do pogięcia przeciwnika, z zastrzeżeniem, że ten przeciwnik nie jest świadomie zorganizowaną siłą społeczną. I wcale nie przekonuje końcowy optymizm, sugestia, że Kława weźmie w swoje ręce sprawy spółdzielni i wszystko będzie dobrze. Skąd bowiem pewność, że Garuza nie wykonywa znowu jakiejś podstępnej sztuczki, żeby całą robotę rozłożyć na nowo! Wszak nie ma widoków na zmianę panującego systemu, a ten przecież bezwzględnie stanie po stronie Garuzy. Trzeba jeszcze raz mocno podkreślić, że optymizm „Syna rybaka” podważa realizm powieści, prowadzi do nietypowego rozwiązania zawartych w niej konfliktów.

Z tym wiąże się jeszcze jedna kwestia: oto spółdzielnia rybacka jest w utworze Łacisa lekarstwem na wszystkie bolączki i kłopoty życia. Daje się odczuć brak rewolucyjnej perspektywy w tej powieści. Przyczyna braku owej perspektywy leży i gdzie indziej jeszcze — w wyborze środowiska. Mamy tu do czynienia przede wszystkim z najbardziej zubożonymi rybakami z Czeszu. Tak Kława czy Usis, nie mówiąc już o Bangerze, mogą sobie pozwolić na kształcenie swoich dzieci. Mimo wyzysku ze strony Garuzy, nie najgorzej im się powodzi; są to mimo wszystko, jeśli nie zamozni w pełnym tego słowa znaczeniu, to przynajmniej dostatni rybakowie. Bardzo charakterystycznym i, wydaje mi się, dobrze przez autora podchwytanym faktem jest budzenie się wśród nich tendencji do niedopuszczenia do spółdzielni biedniejszych „plotek”, jak powiadają. Nie mamy w powieści własnie owych „plotek”, tych najbardziej niebezpiecznych. Wiemy o ich istnieniu; są to najemnicy, przychodzący z Rygi, czy od czasu do czasu licytowani przez Garuzę biedniejsi rybakowie. Nie widzimy ich życia w powieści, nie wiemy nic o ich stosunku do gospodarzy i odwrotnie. Nieco wyraźniej występuje tylko dwoje ludzi z tej warstwy społecznej: Zenta i Franek, przy czym w jednym wypadku konflikt społeczny przesunięty został na płaszczyznę etyczną, w drugim — psychologiczną. Słowem brak w „Synu rybaka” rozwarstwienia klasowego i to przede wszystkim sprawia, że spojrzenie w przyszłość ma bardzo wąski kąt widzenia w tym utworze. Zresztą jeżeli autor zatrzymał obiektyw prawie wyłącznie na takim elemencie społecznym, jak to zostało wyżej przedstawione, jeżeli w dodatku za teren akcji swojej powie-



Fot. — WAF.

ści wziął małą miścinę, jeżeli na koniec na pozytywnego bohatera obrał syna jednego z najbogatszych rybaków i nie zaopatrył go w jakieś możliwości głębszego komunikowania się ze światem — trudno oczekiwać i wymagać od jego powieści rewolucyjnego rzutowania w przyszłość. W centrum uwagi autora musiał znaleźć się konflikt: drobny producent — hurtownik, a nie klasyczny dla kapitalizmu: pracodawca — najemnik.

Mając na uwadze te wszystkie zastrzeżenia, należy jednak stwierdzić, że „Syn rybaka” jest powieścią niezwykle ciekawą, co wystąpiło także w cytowanej na początku wypowiedzi mojej sąsiadki. Wartość tej powieści leży głównie w jej pasji demaskatorskiej. Śmiało krytykuje i bezlitośnie oskarża ona kapitalistycznych wyzyskiwaczy. Elementy fikcji literackiej zostały tu rozsunte na kanwie codziennego życia, wypchnięte po brzegi twardą, wyszcząszczoną pracą. Jest wielką zasługą autora, że biorąc za materiał trud powszedniego dnia szarych, prostych ludzi stworzył pasjonującą powieść, o dużych wartościach wychowawczych. W okresie powstania była ona orężem w walce z wyzyskiem. Świadczą o tym napaści na jej autora, o których dowiadujemy się z jego przedmowy do powojennego wydania (po raz pierwszy wyszedł „Syn rybaka” na parę lat przed wojną), słusznie umieszczonej na czele polskiego przekładu.

Antonina Bartoszewicz

*) Willis Łacis, Syn rybaka, „Książka i Wiedza”, 1950, tłum. W. O’da.
**) Jest to twierdzenie Józefa Kelery z jego artykułu: Z literatury republik bałtyckich, zamieszczony w Nr 12 (59) „Nowej Kultury”.
***) Tak twierdzi Kelera we wspomnianym artykule.

EDWARD MARZEC

Dużo chęci a znajomość skąpa

MÓWIAC o niedostatku realiów (szeregów z życia i pracy człowieka) w utworach literackich, należałoby się zastanowić nad tym, co przeciętny pisarz zamotował w swoim brulionie, zanim przystąpił do pisania książki. Wprawdzie nie w jednakowej mierze, lecz jednak BRULION TAKI jest przecież niezbędny dla prozaika i dla reportażysty i poety. Posłużmy się przykładem z życia wziętego, jakkolwiek z równym powodzeniem można sięgać do tematyki z przemysłu. Gdy wiemy o człowieku mało, to nie potrafimy stworzyć żywej postaci w utworze.

Oto chłop nr. średniolny. Wyznawca schematu pamięta przede wszystkim o tym, co w leninowskiej formule zostało wyłożone i sądzi, że nie popełni błędów, gdy przeczytawszy kilkadziesiąt przykładów w prasie na temat opiekałości lub lojalności średniaków zasiądzie do roboty. Formule zna, przykłada do życia przeczytał, resztę „dośpiewa”. Podobnie postąpi z malorolnym a kulak także w ten sposób potrafi ustawić. Przy tym podejściu — a postarzą się ono (gdyby się przyszło z tego spowiadać) często — pozabawiamy się podstawowego materiału, bez którego nie sposób pisać niespłóci. „Jakie podatki ten chłop płaci?”, „ile kontraktuje świń i jaki z tego ma dochód?”, „gdzie kupuje odzież, obuwie, opał i po ile?”, „czy podiera się zarobkiem z pracy pozarolniczej i jaki to wpływ wywiera na budżet?”, „uczcy dzieci w szkole, czy nie uczy, ma prąd elektryczny albo nie, są tam szosy czy może błotniste drogi?” itd. itd. Wszelachsternie zbadanie sytuacji ekonomicznej różnych grup zamozności — to pierwsze, z drugiej strony konieczne jest poznanie argumentów, zapartywań, upodobań, stosunków rodzinnych, zamiarów i kalkulacji na przyszłość. Trzecia dziedzina dotyczy sytuacji, wypadków, konfliktów, nieszcześć i ich skutków. Jeśli autor zgromadził taki materiał, przestudiował go, uzupełnił w razie potrzeby, może, jeśli w ogóle wieś zna, przystąpić do pisania. W przeciwnym wypadku (gdy uczy, że to wszystko stworzy bez notatek), skazywany będzie na lepienie bohaterów z papieru i ustawianie ich według schematu w sztucznych sytuacjach.

Edward Marzec.

WŁODZIMIERZ GRAB

Terenem — Śląsk

Chciałbym rzucić garść spostrzeżeń z terenu, który jest symbolem gigantycznej pracy, z terenu, który jest kuznią socjalizmu — ze Śląska. Na naszych oczach, w ciągu sześciu lat powojennych, w blasku jarzących się łun, w narastającym warkocie maszyn, na powierzchni i pod ziemią rozgrywa się bitwa o węgiel i o tysiące ton stali potrzebnej dla naszego gospodarki. Byłem świadkiem, jeżeli nie początkiem tej bitwy, która rozpoczęła się od chwili wyzwolenia Śląska, to w każdym razie od czasu, gdy wzmożło się jej nasilenie.

W r. 1946 słowo — górnik — nie było tak popularne w Polsce jak dziś, ponieważ nie wszyscy zdawali sobie sprawę, że węgiel jest chlebem powszednim dla naszego budującego się przemysłu. Wówczas słowo — górnik — niekiedy ludzie nawet w Katowicach wymawiali cicho z pewnym zażenowaniem, dlatego że pracę pod ziemią uważali za najbardziej szorstkiego gatunku. Jakże zaskoczyłyby dziś mój ówczesny znajomy z Warszawy, który w r. 1946 prosił, aby nie mówić głośno na ulicy, że pracuje jako ładowacz, że wyjeżdża z dołu czarny jak kominarz. Kogo się wstydzili?... Wstydził się wówczas tych, którzy wracali z pełnymi walizkami z Ziemi Odzyskanych i śmiali się w głos, wytykając palcem tych, którzy od razu przystąpili do rzetelnej pracy. Czas się zmienił. I to szybko.

Dzisiaj ów młody człowiek z Żabkowic, który wówczas pracował razem z mną na kopalni nie opuszcza w miesiącu po jedenaście dniówek i nie wyjeżdża do Wałbrzycha w poszukiwaniu lepszej pracy. Przekonał się, że tam węgiel jest również twardy, a dla łazików w Polsce nigdzie już nie ma miejsca. Od czasu, gdy Wincenty Pstrowski rzucił hasło spółzawodnictwa, bitwa o węgiel zmogła się na kopalniach, na powierzchni i pod ziemią. Pojawili się wówczas w prasie nowe, nikomu dotychczas nieznane nazwiska ładowaczy i rębaczy, którzy mocniej uderzyli w twarde ocios węglowy. Był czas, że szyszono z nich, rzucano obelgi, lub szepłano innym, że to właśnie ci, którzy „śrubują” normy. Rostło współzawodnictwo, rosta wydobycie, ale w parze rosnę trudności, piętrzyły się przeszkody: zrzuwały się taśmy, waliły się przekopy, wybuchały zagadkowe pożary. Podstępny wróg zepchnięty z jednej pozycji przeszedł na inną. Rozgorzała walka, która do tej chwili nie osłabła, ale przeciwni, narasta z każdym dniem. Przyglądamy się tej bitwie, wydobywamy na światło dzienne i pokazujemy społeczeństwu tych, którzy w ciężkich zmaganiach torują sobie i nam drogę w przyszłość. Ale wiele jeszcze zagadnień zbijamy milczeniem, może dlatego, że nie są one znane nam w dostatecznym stopniu. Powód niewykonania planu przez dany oddział lub kopalnię nigdy nie będzie dla nas jasny po jednorazowym zjeździe na dół, lub jednej rozmowie odbytej z górnikiem, którzy narzekają na nieudolny dozor, brak narzędzi lub złych transportów. Jeżeli oprzemy się tylko na tym, to przedstawimy obraz w niewłaściwym świetle, bo ludzie w prywatnej rozmowie zazwyczaj lubią

Niezbędność wspomnianych powyżej realiów jest oczywista. A skoro tak, to powinniśmy z kolei zwrócić uwagę na sposoby poznawania rzeczywistości. Literat przebywający w środowisku, które w swych utworach opisuje, bywa z reguły działaczem, czynnym uczestnikiem życia. Kierując się metodą realizmu socjalistycznego, może on przygotować powieść, czy mniejszy utwór z większym prawdopodobieństwem, że to, co jest w rzeczywistości węzłowe, odbije się w dziele opowiadano mocnym akcentem i będzie przekonujące. Trudniej pracować autorowi, który musi dopiero stwarzać kontakty z interesującym go środowiskiem.

Dziennikarz z wiejskiego pisma, zwłaszcza gdy pisarz reprezentuje organizację działającą na wsi, korzysta co najmniej z czterech kontaktów: 1) z tego, co przynoszą pracownicy organizacji, 2) interesanci, odbiadający redakcję, 3) korespondenci i czytelnicy, 4) wyjazdy „w teren” i ostatni dodatkowy kontakt — przy okazji dodatkowych, krewnych, przyjaciół, z którymi utrzymuje łączność. Do prowadzenia pisma lub brania udziału w jego redagowaniu kontakty takie mogą wystarczyć. Niestety literat musi mieć więcej materiału do pisania np. powieści. Powiedziałbym, że oprócz kontaktów, jakimi dysponuje dziennikarz (a literaci powinni z tego korzystać także) pisarz największą wagę musi przywiązywać do wypadków w terenie ale DO POBYTU W TERENIE. W jakim charakterze, na to nie wolno dawać recepty, lecz przebywanie jest konieczne i to jakie przebywanie! Takie, żeby, nie narażając się na fałszywe relacje, mógł poznać wszystkie ważniejsze realia wypełniające życie, pracę i walkę człowieka. Ale pisarz nie może ani na chwilę zapomnieć o tym, że dlatego zajmuje się środowiskiem i bada rzeczywistość, bo ludzi żyjących w niej, przemieniających ją na nową i lepszą, on pisarz głęboko, z całego serca kocha. Gdy kocha, to drzwi do poznania rzeczywistości rozewrą się przed nim i zdoła widzieć wszystko, co do stworzenia dzieła jest potrzebne.

Edward Marzec.

HENRYK WANDOWSKI

POWIEŚĆ O WSI ŁOTEWSKIEJ

NAKLADEM „Książki i Wiedzy” ukazała się już trzecia wydawnicza pozycja nowej literatury łotewskiej, po „Synu rybaka” i „Nawalnicy” Willis Łacisa — powieść Anny Saksę pt. „W górę”). Powieści Łacisa zajmują się wydarzeniami lat 1932 — 34 („Syn rybaka” i 1939 — 41 („Nawalnica”) — mowa tu tylko o pierwszym tomie, który ukazał się w języku polskim); książka Saksę obejmuje najistotniejszy dla rozwoju wsi łotewskiej okres 1944 — 46.

Powieść poświęcona jest obrazowaniu drogi wsi łotewskiej do socjalizmu. Nie znamy właściwie terenowego położenia ośrodka, w którym rozgrywa się akcja. Autorka, przedstawiając zmagania wsi łotewskiej w dążeniu do kolektywizacji, tak rozłożyła akcenty, aby czytelnik otrzymał obraz, będący możliwie jak najdoskonalszym syntetycznym uogólnieniem tego doniosłego zagadnienia. Udało się jej w pełni zrealizować zamierzone przedsięwzięcie. Prześledzimy to na przykładach.

A więc przede wszystkim bohaterowie powieści: Juris Ozol — malorolny chłop, od najmłodszych lat pragnący zmiany w stosunkach społecznych na wsi. Udało mu się po zajęciu Łotywy przez hitlerowców przedrzeć się na stronę radziecką. Tutaj wstąpił do Armii Czerwonej, wspólnie z innymi rodakami walcząc o wyzwolenie Łotywy Radzieckiej. Po wyzwoleniu władzę radzieckie powierzyły mu odpowiedzialne stanowisko organizatora partyjnego na terenie rodzinnej wsi.

Piotr Wanag — młody chłopak, któremu przedwcześnie zmarł ojciec, bezrolny chłop. Podobnie jak Ozolowi, udało mu się wstąpić do Armii Radzieckiej, w szeregach której walczył o wyzwolenie Łotywy. Po powrocie do wsi, powierzono mu stanowisko przewodniczącego komitetu gminnego.

Elza Janson — gminna aktywistka komсомolska. Dzięki swojej aktywności zostaje przeniesiona do pracy politycznej w komitecie powiatowym Komсомolu.

Artur Janson — mąż Elzy, nauczyciel, nie mogący zrozumieć moty-

wów postępowania żony, przy stepsując do bandy leśnej, aby zwałcząc ludzi, którzy zabrali mu żonę.

Maiga Rasman — pracownica poczty, zaciekle wróg władzy radzieckiej, wcaśka się do miejscowej komórki komсомolskiej.

William — bogacz wiejski. Podczas okupacji zgnęził się nad rodakami, jako niemiecki policjant. Po wyzwoleniu zorganizował bandę leśną, której zadaniem było inspirowanie wrogiej roboty, mającej przeciwdziałać posunięciom partyjnych i administracyjnych kierowników gminy.

Celniń — aktywista partyjny, który uspołecznienie wsi chciał przeprowadzić drogą administracyjnego nacisku, nie licząc się zupełnie z koniecznością ideowego przygotowania chłopów do tego przełomowego kroku.

Oto naczelnice postaci występujące w powieści Saksę. Są to sylwetki w pełni reprezentatywne, typowe, jeśli chodzi o środowisko wiejskie. Już podana skrótowa charakterystyka bohaterów, pozwala się domyślać, że operowanie tak bogato zróżnicowanymi postaciami przysporzyło autorce wiele okazji do pokazania naczelnich konfliktów, związanych ściśle tak z ludźmi, jak i naczelnymi zagadnieniami, któremu poświęcona jest książka. To jest pierwsza zasługa autorki.

Anna Saksę jako pisarkę, pochodzącą z rodziny chłopskiej i na wsi wychowaną, bardzo trzeźwo i realistycznie ocenia psychikę chłopca, którego mentalność silnie jest przepojona siłą przyzwyczajenia, o której Lenin powiedział, że jest najstraszniejszą siłą. Dlatego też autorka nie zamyka akcji powieści w ramach kilku miesięcy, lecz pokazuje całą zmusną drogę chłopca do dojrzalszej społecznej, chwytając poszczególne etapy tego dojrzewania. I to jest druga zasługa pisarki.

Chłopi w powieści Saksę przyjmują zmiany społeczne na wsi różnie: jedni z widoczną nienawiścią, drudzy z milczącą dezaprobata, inni wreszcie z pełną rezerwą sympatii. Saksę nie daje się ponieść przesadnemu entuzjazmowi i nie upraszczając za-

gadnienia, z całą precyzją klasowego spojrzenia, analizuje zmieniający się stosunek chłopów do rozwijającego się nowego. Jej klasowej obserwacji poddany jest szczególnie ostro najzaciętszy wróg nowego — kulak. Jest pewien charakterystyczny moment w powieści, dowodzący wysoce ostrzeżonej czujności ze strony autorki. Oto gdy Ozol przeniesiony zostaje na inne stanowisko do powiatowego komitetu partii, a Elza otrzymuje zadanie zorganizowania Komсомolu na szczeblu powiatowym we wsi, która była już na właściwszej drodze do rozwoju, zaczyna się nagłe coś psuć. Okazuje się, że okoliczności wyjazdu dwóch najlepszych aktywistów skwapliwie wykorzystują kulacy, wciskając się na wszystkie kluczowe stanowiska w gminnym aparacie administracyjno — gospodarczym. Sytuacja zmienia się jednak radykalnie z chwilą powrotu z wojska Piotra Wanagi mianowanego przez komitet powiatowy partii przewodniczącym zarządu gminy. Do jej udrożnienia przyczynił się również powrót Ozola.

Te wydarzenia pozwoliły wielu dotychczas na uboczu stojącym chłopom ocenić właściwie swoje położenie. Wokół Wanagi, Ozola i Zenty skupia się coraz więcej ludzi, pragnących lepszego bytu. Gmina powoli dojrzewała do rewolucyjnego przeskoku, aż pewnego dnia z ust młodego komсомolca padło wezwanie: „Stwórzmy kolchoz...”. „Chłopi, którzy dzisiaj gawędzili o założeniu kolchozu, nie są już tymi, jakimi byli przed dwoma laty. Wtedy przy słowie „kolchoz” jężyli się. A teraz mówią o nim jak o czymś, co jest konieczne. Jeżeli nie zdecydowali się już dzisiaj, zrobią to jutro...”. W kilka tygodni później wezwanie zostało zrealizowane. Powstał kolchoz, który nazwano po prostu „W górę”. Książka posiada duże wartości poznawcze odznaczają się umiętnością, trafnością, bogatą artystycznie charakterystyką postaci.

Obok tego wszystkiego niesposób jednak pominąć pewnego poważnego błędu pisarki. Autorka pominęła całkowicie milczeniem rolę sojuszu robotniczo — chłopskiego, znaczenia

samej klasy robotniczej w walce o kolektywizację wsi. Nie potrzeba długo dowodzić, że to niedociągnięcie ideologiczne spowodowało nieopóźnie dane rysy w zbyt powierzchownie niekiedy zarysowanym obrazie ogólnym.

Powieść Anny Saksę wskazuje jasno jedyną właściwą drogę wsi do dobrobytu. Książka uczy czujności wobec wroga klasowego. Autorka już na wstępie sugeruje, że walka o nowe na wsi nie będzie łatwa, że linia tej walki przebiegać będzie nie tylko między kulakami a małorolnymi chłopami. Saksę dokonuje jeszcze precyzyjniejszej charakterystyki tej walki — będzie się ona toczyć także w łonie najuboższych elementów, z natury rzeczy najpodatniejszych na wszelkie radykalne zmiany, zmierzające do reform społecznych. Małorolni i średniolni chłopcy w swej większości są pozytywnie ustosunkowani do zagadnienia kolektywizacji. Wielu zgłasza swój akces do kolchozu, ale większość, aczkolwiek przychylna, zachowuje jeszcze postawę pełną rezerwy, tak jak jeden z bohaterów powieści, który mówi do Ozola: „Pozwól mi trochę popatrzeć, jakie tam będą porządki, jak się będzie obchodzić z końmi. Przyuczają się, zobaczę, a jak wszystko będzie dobrze, wtedy i ja pociągnę za młócinę... Nie wystarczy tylko w myślach przyjąć coś nowego; chciałoby się rękami dotknąć”.

A gdy nadchodzi chwila powstania kolchozu, autorka sugeruje, że to jeszcze nie koniec walki. Gdy jeden z przyszłych kolchoźników proponuje nazwać kolchoz „Na górę”, pisarka ustami innego mówi „W górę...”. „Niech nazwa mówi nam, że nie powinniśmy zapominać także o trudnościach naszego wysiłku. Ta nazwa mówi także o czymś innym: chociaż bardzo trudno usunąć powojenne braki, ale mimo to życie idzie jakby ku szczytom, w górę, ku postępowi...”. I w tym sformułowaniu zawiera się końcowy wniosek pisarki.

Henryk Wandowski

*) Anna Saksę „W górę”. Tłumaczył z rosyjskiego Stanisław Damrosz, „Książka i Wiedza”, Warszawa, 1951. Str. 546.

Włodzimierz Grab

KAZIMIERZ BARTYZEL

O wszystkim decyduje człowiek



DŁUGO molestował i tłumaczył sekretarz KG PZPR w Kalwarii, Banaś Michał, przed wyjazdem na gromady Jaskierniu, Sajolakowi i wielu innym, że akcja skupu stoi nie tak źle w terenie, jak ją widać w opinii takich, którzy lubią widać pewne rzeczy wyolbrzymiać a pewne celowo zmniejszać. Okazało się, że Banaś miał rację. JASKIERNIY wrócił z akcji usmiechnięty, choć setnie zmechanony, bo Izabelnik szeroko jest rozrzucony po wierzchołkach. To samo twierdził listonosz i sekretarz Podst. Org. Part. — SAJOLAK. To samo później twierdził FLOREK, KOZŁAK, CHROSTEK, FLOREK, ZAJĄC, MATUŁA, JARGUZ i wielu innych, którzy nie szczędzili sił i nóg, by honor gminy Kalwarii ratować. Spodziewany opór tłumaczony niechęcią chłopów do dawania, jego konserwatywnym — zwiódł. Przeciwnicy przyszli z innej strony. Wynikły z lekkomyślności w niektórych gromadach przeprowadzonej w 1949 r. klasyfikacji gruntów, podziału familijnego nie zgłoszonego do Gminnej Rady, ani odnotowanego w hipotece, starego urodzaju zboża i ziemniaków. Przykładem złej pracy komisji klasyfikującej może być fakt, że Pająk Julii z Brodów k. Kalwarii, mającej 45 arów, wyznaczono 85 kg zboża i dopiero Prez. GRN zniósł ten wymiar, jako niesłuszny. Podobnie Wojtaszek Ignacy, który posiada tej samej wielkości pole co Pacut Anna (zwana z powodu bogactwa „amerykańką”), miał dostarczyć o 135 kg więcej.

Okazało się, że kobieta była sprytniejsza od Wojtaszka, bo od 49 krowi zgineł jej w spisach 45 arów ziemi ornej.

Brak dokładnego katastru spowodował, że w takim Izabelniku „zginęło” 150 ha. „Nie ma i już”. Spis i ilość ha danej wsi zależy zawsze od tego, „na co to się pisze”. Płynność ta, to pozostałość po okupacji niemieckiej. Kiedy to w obronie przed wywozem do Niemiec przybyło 250 ha, a w obronie przed kontyngentami



ZASTANOWIŁ mnie fakt — dlaczego Lipno-Wieś nie nadąża za innymi, na przykład za sąsiadką Jastrzębicą, która w skali powiatowej dzierży palmę pierwszeństwa. Czy w Lipnie-Wiś jest gorsza ziemia? Nie... Ziemia jest ta sama, a tylko praca propagandowa przy dostawach zboża była do niczego.

Nie wzięto pod uwagę że na 311 gospodarstw w gminie około 80 proc. stanowią gospodarstwa o powierzchni 2 — 5 ha. (Najwięcej jest takich po 2, 2,5 do 3 ha). Te właśnie drobne gospodarstwa powodują, że Lipno-Wieś wchodzi się w ogonie powiatu. Bo patrzeć! Lipno-Wieś składa się z gospodarstw rozrzuconych wokół miasteczka. Małe gospodarstwa nie stanowią podstawowych źródeł utrzymania dla większości ich posiadaczy. Poza obrabianiem półtora, dwóch czy trzech ha ziemi większość jej właścicieli dorabia przy robotach rządowych w miasteczkach. Ponieważ praca w mieście jest rentowniejsza, dlatego gospodarstwo staje się tylko dodatkowym źródłem utrzymania, a co za tym idzie zachowanie produktywności gospodarstwa np. w zakresie uprawy ziół staje się rzeczą drugorzędnej wagi. Wielu drobnych posiadaczy zrezygnowało, żyła nie sieje, wielu sadzi same kartofle, a inni zaś same rośliny strączkowe i paszowe dla krowi i kóz.

Tych specyficznych podmiejskich warunków w planie pod uwagę nie wzięto. Planowano tak, jakby Lipno — było typową gminą. Obliczono ogólnie hektary i według tych hektarów — biorąc przeciętną — nalożono plan. W teorii szło dobrze, w praktyce specyfika gminy wyszła od

ubyło 7.300 ha. Księgi wymiarowe wykazują duże nieścisłości w corocznym spisie.

Po wychwyceniu i poprawieniu tych nieścisłości, akcja skupu zboża przebiegała na ogół pomyślnie, większe utyskiwania były na ziemniaki, które na skutek suszy kiepsko obrodziły. Kontraktacja wzrosła wybitnie dopiero po ukazaniu się ustawy z dnia 23 listopada br., dzięki której chłop za sztukę odstawioną dostanie 300 kg węgla pierwszego gatunku, 100 kg szruty po 85,50 zł, 5 proc. premii i 1,20 zł dodatku na kg, pożyczkę bezprocentową, szepczenie ochronne i pierwszeństwo w kupnie materiałów budulcowego czy towarów w sklepie. Chłopi powiadają, że teraz to inaczej i można gaść.

Wielkie zrozumienie dla akcji skupu okazała biedota. Taki np. ob. ZAJĄC TOMASZ nie ma ani zagony, a dał 125 kg, bo „co mają omijać jego dom jak zarażony”, drugi obywatel z Lanckorony, FLOREK ANTONI, zamiast 29 dał 153 kg, CHROSTEK JAN z Przytkowic zamiast 74 — 234 kg, ADAM OPYRCHAŁ ze Stanisławia Dolnego przy 8-gu dzieciach zamiast 41 dał 137 kg, wdowa z Wysokiej, JUHA STEFANIA odznaczona za wychowanie 12 dzieci Złotym Krzyżem Zasługi, zamiast 83 dała 125 kg.

Dzięki takiej postawie biedoty Jastrzębia dała do 30 listopada 106,6 proc., Zarzecz Wielkie 105 proc., Podolany 103 proc., Zembrzydowice 110 proc. Najgorzej stoi Lanckorona — 87 proc. i Wysoka — 85 proc. Zarzecz Wielkie zawdzięcza swoje przedwiośnie wybitnej energii i sile argumentacji bezpartyjnego sołtysa SKRZYŃSKIEGO JOZEF A. Dorównuje mu ZIĘBA JOZEF z Przytkowic, WŁOCH FRANCISZEK z Jastrzębiej, KOSCIELNIAK JOZEF z Bugaja. Złe stały do niedawna Brody, bo sołtys Wanderlik urzędował w gospodarstwie tak długo, aż się Prezydium Pow. Rady Nar. ulitowało nad nim i zwolniło go (z sołtysowania a nie od picia). Podobnie pije w Stanisławiu Dolnym Opyrchał („piję za swoje i nikomu nie do tego!”). Złe jest, że pobłażliwie patrzy na to gromada, która przy głosowaniu 200 głosami przeciw 8 podtrzymuje go na stanowisku sołtysa.

Nad akcją skupu dobrze panowało Prezydium Gm. Rady Nar. z ob. Mrozem, Filkiem i Florkiem na czele. Dzięki mądrym interpretacjom ustawy nie trzęsą się nad tym, że termin składania odwołań minął 1 września. Przy każdym zażaleniu biorą pod uwagę warunki materialne, stan rodziny, ilość dzieci w szkole, syna w wojsku, kłeski żywiołowe, jak — grad, susza, wymoczenie. Po wysłuchaniu skarg i obiektywnym rozpatrzeniu bolączek znikają zatarci, niezadowolone, a przychodzi zrozumienie akcji i jej ważności. O wszystkim decyduje człowiek i dobrze jest, gdy podchodzi się do drogiego po ludzku jak to czynią ob. ob.: Mróz, Filek i Florek.

Kazimierz Bartyzel

FRANCISZEK PUDŁOWSKI

Grunt to — agitacja!



razu na wierzch. Rozłożono powinności na wszystkich. I oto teraz z wykonaniem planu idzie słabo.

Tacy bogacze jak PańIEWSKI, Czerwiński, Sarnowski, Sowa cieszą się, bo znaleźli podstawę do agitacji za swoimi interesami. Przybraли miny Jezuitów i powiadają: „Bijcie im duzego gospodarza, nazywaciu go kulakiem, a ilu waszych matorolnych zalega jeszcze z dostawą?”

Toteż na 20 proc. bogatszych wywiązało się tylko 5 proc. Reszta znalazła sobie znow drugą argumentację bijący w biedotę. Ta część powtarza tak: — „Patrzcie, nawet ci co mają po 2 kwintale do odstawy, nie mogą się wywiązać. Nie ma zboża, a co do kartofli to też wcale, bo susza była ogromna.” Jednym z takich, co dają te „argumenty” wrogowi jest Stanisław Smigielski.

Franciszek Pudłowski

Gazetka gminna

Jak się ujawnił w naszej gromadzie wróg?

Przyznaję się do błędu, nie wiedziałem na naszej gromadzie Gaj, gm. Szeldak, pow. Ostróda — wrogów Polski Ludowej. Takeśmy sobie myśleli, że u nas tych wrogów w ogóle nie ma. A jak wyszło?

Nasz sołtys ob. Jakubowski dał dobry przykład i pierwszy wypełnił swoje zobowiązanie, a za nim szła reszta gromady z pewnym ociąganiem się, ano, susza, a no, omłoty, wykopki, orka i siewy...czasu nie ma... ale wszyscy chętnie... jakżeby inaczej... byłiby pierwsi, gdyby nie to lub owo...

Do tych opieszalych wyznaczyl sołtys ostateczny termin zbiorowej odstawy na 27 listopada. W tym dniu reszta zboża z planu miała być odstawiona. Zgodzili się wszyscy.

Ale mamy u siebie zamożnego gospodarza, radnego PRN ob. Zmysłowskiego Antoniego. Ten się jakoś nie spieszył, miał zawsze jakąś przyczynę. A byli przecież w gromadzie tacy, co na niego patrzyli: Zmysłowski, radny, nie odstawia, nie płaci — wie, co robi.

Jakoś na kilka dni przed zbiorową odstawą wezwano Zmysłowskiego do powiatu. Wrócił z niewyraźną miną, co mu tam powiedziano, nie wiem, ale po powrocie rozgłosił w gromadzie, że nasz sołtys Jakubowski zostanie zdjęty z urzędu, bo przegął pałę, zbyt gorliwie pracował nad uświadomieniem gromady, jednym słowem, źle robił. W gromadzie zarwało. Byli tacy, co Zmysłowskiemu uwierzyli, no, i zbiorowa odstawa nie całkiem się powiodła.

Ale, że kłamstwo ma krótkie nogi, to i igraszki Zmysłowskiego się wydało. Sołtys Jakubowski nie tylko nie został zdjęty ze stanowiska, ale jak fama głosi, ma podobno otrzymać nagrodę, a Zmysłowski został na plenarnym posiedzeniu PRN wyrzucony z Rady.

Ja zaś i cała gromada przekonałismy się, że wróg jest i działa. Od Zmysłowskiego gromada się odsunęła, a tym, co go słuchali, mna bardzo zrzęda. Wróż Zmysłowskiemu, że na wyrzuceniu z Rady się nie skończy. Oszustem całą gromadę odwiódł od wypieniania obowiązków, a to mu płazem nie ujdzie.

Kazimierz Jamróz

Gazetka gromadzka w Niwie

Na płocie w Niwie wywiesił sołtys w porozumieniu z aktywnym gromadzkim gazetkę z karykaturami opornych kulaków. Wróg wcale się tego nie spodziewał.

Mamy tutaj naszego fabrykanta, ob. Jana Garmulęw. Dlaczego wyłamuje się spod obowiązku? Tego nie powie. Jego własna rzecz. Bądźcie prorokami i zgadnijcie. A my wiemy, że Garmulewicz posiadał dużą cegielnię, w której zatrudniał robotników. Ci, którzy pracowali u niego, jeszcze do dz.ś dnia wspominają gorzko pana pryncypała.

Do roboty gonil niczym pies, a mało płacił. Wyzyskiwał, ile tylko mógł, a miał kogo, zatrudnił bowiem co najmniej 50 robotników. Ileż to pieniędzy poszło wyłącznie do jego kieszeni? W 1951 r. władza ludowa położyła wreszcie kres temu wyzyskowi.

Drugi bohater — Głowacki, leśniczy całą gębą, pan na lasach gminnych w Niwie. Temu zawsze się dobrze powodziło. W czasie okupacji wyprawał na cześć Niemców różne pizytacja, w zamian za co dobudowano mu piękny lokal. A budulec, zabrano po prostu chłopom. Pan Głowacki nadal siedzi w leśniczówce...

Przechodzą chłopi obok gazetki i zatrzymują się. Jest na co popatrzeć. Otworzyli się szeroko oczy zbałamunconym. Zrozumieli.

Chcieli pozbawić robotnika chleba — komentowano.

— Już nie uda im się ta sztuka.

Jerzy Hłond

Biedni kulacy

W Lipnie codziennie przed obydwo ma młynami ciągną się jak okiem sięgnąć całe sznury wozów naladowanych zbożem. Dwóch, sądząc po ubiorze, bogatych kulaków, stoi opartych o pełne wozy. Przechodząc, słyszą rozmowę: „Oj, mówię wam kumotrze, że niedługo przyjdzie nam z torbami iść (a wóz za n.m. pękaty od zboża), mam co prawda jeszcze trochę zboża w domu, ale to wszystko mało. Wieceie co — dodaje szepcłem pochylając się do kumotra — ja mam sposób, jak chować mąkę.

Trzeciego gruźna wchodzi ci ja do gospody na piwo, a tu, w przytulnym kąciuku siedzą sami tacy, co wtedy przed młynem mówili o ładce. Puste butelki świadczą o tym, że nie ostatnia nderza ich tu przyciąła, ale to im wcale nie przeszkadza narzekać na biedę: „Wykonczyli mnie, musialem odstawić 15 metrów, a co mi zostało w tamtym stogu za stodołą, będzie może ze 40 metrów, no i trochę tej mąki pod wodą. Oj, bieda — tu rozmowca zwraca się do kelnerki — jeszcze jedną butelkę wiskińki i coś na ząb, tylko żywo — tak, tak, bieda”.

Honorata Imanowska

Sprawa pomysłowości

Czy wiecie dlaczego gmina Zakrzew nie wykonywała przez pewien czas planu skupu zboża i dlaczego groziło jej zalamanie całego planu rocznego?

Czy może postawa chłopów była niepatriotyczna i brak było zrozumienia dla akcji skupu? Bynajmniej, plan sierpniowy wykonano tu w 146 proc., a chłop i w rozmowach i w czynnie wykazywali, że dobrze rozumieli znaczenie akcji.

Czy może organizacja partyjna nie przystąpiła do politycznej akcji? Wprost przeciwnie, organizacja partyjna wyjaśniła chłopom znaczenie dekretu i przeprowadziła szeroką akcję uświadamiającą.

Czy może zawiodła praca GRN? Nie. Prezydium GRN nie żałowało trudu, by skup miał przebieg jak najbardziej sprawny. Każde podanie chłopów zostało rozpatrzone w wyjątkowo krótkim terminie, a aktywny gminny świecił w czasie akcji pięknym przykładem. Radni i sołtysy pierwsi odstawili zboże do punktu skupu.

Gdzie więc leżała przyczyna zalamania wrześniowego planu? Przyczyna leżała w tym, że gminna spółdzielnia w Zakrzewiu była pomysłowa, ale swą pomysłowość wyładowywała nie tam, gdzie potrzebna.

Magazyn gminnej spółdzielni jest ciasny. Czegoż nie zrobili pomysłowi ludzie z GS-u? Gdy zapełniły się saskie na wysokość dwu i pół metra skonstruowano przemysłne rusztowania pod sufit, a potem zapełniono przylegające do magazynu komórki. A gdy i to nie starczyło zaczęto sypać zboże do buchty. Później przysła koleję na świetlicy. Poświęcono nawet szyby w oknach, byle szło prędzej. Ale i to nie wystarczyło. Pomysłowość zarządu GS w Zakrzewiu była jednak niewyczerpana. Nie ma miejsca w magazynie, komórkach, buchcie i świetlicy? Nic nie szkodzi. Za to jest dosyć miejsca

Nasz czynnik oddolny



gminne władze. Przez dwa lata dom stał opuszczony. Tymczasem młodzież głośno damagała się świetlicy, pisano podania do: GRN-u. Bez skutku. Odpowiedź była jedna — „dom jest przeznaczony na szkołę”! I może by jeszcze upłynęły dalsze dwa lata, gdyby nie organ gromady — gazetka. W dwa dni po jej ukazaniu się, opuszczony dom zajęłi życiem świetlicy.

Trzecia gazetka spadła jak grom do sklepu spółdzielczego. Akuratnie przyszedł wiegieł dla mało i średniorolnych chłopów. Prezes sklepu ob. Gadaj zaczął zadawolony rzeć, kumotrzy mu wtórowali. „Będzie ciepło w izbach” — pogadywali do siebie, wywołując ukradkiem wiegieł do swych zagród.

Na drugi dzień po ukazaniu się gazetki, prezes Gadaj biegał od kumotra do kumotra i wołał — „zawoicie szybko wiegieł do spółdzielni z powrotem, bo będzie źle”! Pozamykają nas! — I od tej pory rozdział wszelkich towarów przebiega bardzo sprawnie, a kumotrzy do spółdzielni boją się zagładą.

W takich oto warunkach wyrastał społeczny głos gromady Zduń w pow. sieradzki. Gazetka ścienna stała się prawdziwym organem wsi walczącej z trudnościami, wyzyskiem, kumoterstwem. Gazetka pierwsza zaalarmowała, że są na wsi jeszcze tacy, którzy zlekkają z odstawy zboża. Gazetka potem donosiła, że do pełnego wykonania planu brakuje zaledwie 0,3 procent. Gazetka także spowodowała, że do Gminnej Rady Narodowej wyszli przedstawiciele młodzieży, gazetka uaktywniła pracę kobiet wiejskich.

Wojciech Stelmach

Nasze sukcesy

Nasza początkująca spółdzielnia produkcyjna w Marunach w pow. olsztyńskim ma pewne osiągnięcia, no bo nie boimy się pracy i nauki, a władza ludowa nam pomaga.

— Rok był zły? — Pewno że nie najlżejszy, a jednak...

W Marunach mieliśmy buraków cukrowych 245 q z hektara; biały, słodki tubin dał nam 14 q; słabiej było z kłóśowymi, ale w porównaniu z sąsiadami — indywidually akami, znacznie lepiej: żyto i pszenica dały nam po 13 q z hektara, gdy w okolicy tylko 10 — 11 q!

Orki i zasiewy jesienne wykonałmy w 110% planu, a ozminy, mimo długotrwałej suszy, przedstawiają się wcale nieźle.

Do zespolowej, spółdzielczej gospodarki przekonałmy się ostatecznie. Spłaciłmy już wszystkie zobowiązania i kredyty krótkoterminowe, a choć dniówka obrachunkowa wypada nam tylko 16 złotych, to każdy z nas ma pokazać ilość tych dniówek i nie krzywdzimy siebie.

Tak więc radzimy sobie wcale nieźle, tylko z G. S. w Barczewie nie umiemy sobie poradzić. Widac nie jesteśmy dostatecznie uczeni w piśmie, by z tym świętym Biurokracym się dogadać. A było to tak:

W końcu sierpnia, początkach września dostarczyliśmy do Barczewa 10 ton ziarna siewnego. G. S. dał nam worki i otrzymał zboże w tych workach — magazyn przyjął, wydał pokwitowanie i podobno odesłał ziarno

L. MAKOWSKI

Gminne spółdzielnie

GINA POLANICA. W małej sali teatru zebrało się ponad 50-ciu delegatów Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

Dyskusja — najważniejsza część programu zebrania.

Jako pierwszy zabiera głos Władysław Majewski z Chocieszowa. Porusza sprawę niezabezpieczonych narzędzi rolnych ośrodku maszynowego. Leżą one obok szopty i nikt nimi nie interesuje się. Nawet snopowiązałka stoi w polu.

Kazimierz Kunowski z Wolan — dlaczego zmniejsza się dostawa mleka do punktów skupu?

A dlaczego nie dba się o regularne wypłacanie premii dostawcom? — wykrzykuje Janina Kicka z Szalejewa.

— Podkowy letnie zamiast zimowych przysłano do sklepów wiejskich — z oburzeniem stwierdza Mieczysław Dusza z Szalejewa.

Nasza gromada — mówi Jan Mendrak z Wolan, produjący sołtys w gminie polanickiej — wykonała wszystkie zobowiązania wobec państwa nawet z poważną nadwyżką.

Ale czy to jest zasługą Samopomocy Chłopskiej? Perfumy zamiast goździki przysłano do wiejskich sklepów. Urzędnicji lekceważą nasze potrzeby, albo ich nie doceniają. Gdyby zarząd spółdzielni miał łączność ze wsią, sprawa zaopatrzenia wyglądałaby inaczej. Czy myślicie, że w skupie zboża pomagaty trójki gromadzkie albo komitet skupu? Sołtys biegał od chaty do chaty. Tłumaczył chłopom, że sprzedaż zboża — to ważna sprawa państwu. Jestem zdania, że aktywna jednostka może dużo zdziałać. Mamy na to doświadczenie w naszej wsi. Trzeba tylko chcieć.

— Ważną jest hierarchia potrzeb — zwraca uwagę sekretarz komitetu gminnego PZPR Meres. — Gminna Spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej ma pewne osiągnięcia. Ale nie można zapominać, że realizacja planów gospodarczych toczy się w atmosferze ostrej walki klasowej.

Zainteresowanie przebiegiem obrad osiąga punkt szczytowy, kiedy sekretarz wskazuje na konkretne fakty wiejskiego kumoterstwa i udziału pomocy kulakom przez ośrodki maszynowe z równoczesnym zaniedbywaniem obowiązków wobec matorolnych.

— A czy myślicie — mówi — że wychwalana przez prezesa zarządu spółdzielni Maria Wiecezorek ze wsi Chocieszów jako wzorowa rolniczka jest naprawdę wie wszystkim godna pochwały? Przecież ani jednego litra mleka nie sprzedaje państwu a wszystko na rynku prywatnym.

Skrzytkowana podrywa się z miejsca i prosi o głos.

— To prawda, że nie sprzedaje dla spółdzielni mleka. Ale za to największej sprzedawcą zboża i ziemniaków — ponad plan. Karmię pięć świń i 18 prosiaków. Mleko zużywam na karmienie prosiąt. A poza tym dlaczego spółdzielnia nie zorganizuje we wsi zlewni mleka? Trzeba zainstalować wóiwórkę dla odciążenia tłuszczu, to by się chudym mlekiem karmilo świnię. A masto poszłoby do spółdzielni, a tak?

Z piasku nie zrobimy otrąb — odpowiada w podsumowaniu dyskusji prezes PZGS w Kłódzku, Krawiec. — Jak możemy dawać premie dostawcom, kiedy nie wykonano dotychczas planu skupu zboża? Musimy w naszej pracy wzajemnie się uzupełniać. Krytyka była słuszna, było jednak jej za mało. W mniejszych gromadach, gdzie nie ma odpowiednich pomieszczeń nasza spółdzielnia jeszcze w bieżącym miesiącu zorganizuje sklepy na zasadach komisji, prowadzone przez mieszkańca gromady, wybranego przez ludność. Nie będzie on pracownikiem spółdzielni. Otrzyma za sprzedaż towarów w swoim domu 4 do 6 procent od obrotu. I tak punkt po punkcie powstał na zebraniu dokładny plan pracy na rok 1952.

Następuje z kolei wybór nowych władz spółdzielni. Zgłaszane są kandydatury. Każdą kandydaturę omawia się osobno.

— Kto nie czuje się na siłach — mówią — niech nie przyjmuje mandatu. Spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej, w której koncentrują się wszystkie gospodarce sprawy wsi, jest zbyt ważną placówką.

L. Makowski

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego piśmie, że począwszy od 13 września br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejskie i miejscy przyjmujący wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Józef Płonka

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 752-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Kca 727-85. Tel. Redakcji 751-80 do wewnętrznego 91, 92
REDAKCJA NIE ZAMÓWIANYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłata na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmieleńca 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł, kwartalnie 9,—; półrocznie 18,—; rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś”.

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5 2-B-45297